

Absolwenci ☆ Łagów '86 ☆ Miasteczka nie muszą być nudne
☆ Oh, Mexico! ☆ Sceny miłosne ☆ Rozrywki umysłowe

PL ISSN 0465-7667 Nr indeksu 26 650

nadodrze

ZIELONA GÓRA 15 VI 1986 — 28 VI 1986 R.
ROK XXX NR 12 [617] CENA 15 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Boiska na peryferiach

Piotr Plotrowski

Przypadkowo zagadnięty mieszkaniak Świdnicy wskazuje mi dom państwa Hadzickich: — Rysiek Hadzicki najwięcej będzie wędrował na temat tutejszej piłki.

Niestety, nie zastaję go w domu, może zaraz się zjawi, rozpoczynając się ulewa i gospodarze — rodzice Ryszarda — zatrzymują mnie w domu. W czasie rozmowy przy kawie tłumaczę panu Hadzickiemu, że przywiódł mnie tutaj zainteresowanie dodatkowym zajęciem ich syna. Po chwili milczenia gospodarz wzdycha głośno: — Ja tak obserwuję tę szarpaninę Ryska i często zastanawiam się, czy jemu to potrzebne. W dzisiejszej rzeczywistości nie ma atmosfery dla społecznej działalności: człowiek jest zbyt samotny. Piłka nożna, pewnie, ja też przeżyłem lata fascynacji piłką, ale w tamtych czasach jakoś to wszystko lepiej wychodziło. I nauczycielowi zależało na tym, żeby była drużyna, i chłopakom. Mieszkaliśmy wówczas tam, na Wschodzie, przez naszą miejscowość przebiegała linia rosyjsko-austriackiego frontu. Wojna postawiła w ziemi masę żelaza: sprzedawaliśmy złom a za pieniądze wykupywaliśmy piłkę u Żyda. Najczęściej graliśmy bez obuwia, które oszczędzało się na świąteczne okazje. Ubranie dość często było w opłakanym stanie po różnych przypadkowych meczach, za co później cierpiała tylna część ciała.

Do spotkania z Ryszardem Hadzickim dochodzi dopiero następnego dnia. „Błękitnymi” Świdnica zajmuje się od sześciu lat. Zaczynali praktycznie od zera, pokonując kolejne szczeble kwalifikacji, od D klasy, będącej najniższym szczeblem piłkarskich rozgrywek, do B, w której z trudnością się utrzymują i obecnie muszą wygrać dwa mecze, żeby nie zostać zdegradowanym.

— Dobrze się składa, że może pan coś o nas napisać — mówi lider „Błękitnych”. — Sam myślałem o znalezieniu jakiegoś doświadczenia do prasy i to nie w celach reklamowych. Sukcesów wielkich nie odnosiśmy, największym sukcesem jest istnienie drużyny, a i ten fakt nie jest stanem najpewniejszym. Nigdy, od kiedy gram w „Błękitnych”, nie było łatwo, ale obecnie rzucono nam kolejną kłódę pod nogi. Pięć lat temu otrzymaliśmy od SKR-u stary barakowóz, służył nam za szatnię i magazyn sprzętu. Kilka dni temu został sprzedany jednemu z gospodarzy, od władz SKR-u otrzymałem pismo zobowiązujące nas do opuszczenia barakowozu. Mieścimy tak niewiele, a w tej chwili mamy jeszcze tylko boisko, ale i to nie jest pewne. Plany przewidują lokalizację na naszym boisku działek budowlanych.

Ryszard jest radnym GRN, z wykształcenia inżynierem budownictwa, działa też w miejscowym GOK-u, ale prawdziwą jego pasją jest piłka. Jak twierdzi, 4...5 lat temu na sport w gminie przeznaczano 15—30 tysięcy złotych, a w tym roku 320 tys. Dzięki tej kwocie istnieją realne szanse na wybudowanie szatni. Jest już przygotowana dokumentacja, wykonał ją osobiście, ale trudno zacząć budowę szatni, jeśli nieznana jest lokalizacja nowego boiska. Pytam, ile osób bierze udział w treningach?

— Z tym jest różnie, od kilkunastu do dwudziestu kilku. Takie sytuacje, jak ta z barakowozem powodują, że liczba osób na treningu maleje. Najgorzej jest z transportem na mecze wyjazdowe. Dziś jest piątek, dzień treningu, w niedzielę mamy mecz wyjazdowy w Budachowie, nie mam jeszcze pojęcia, czym na ten mecz pojedziemy i czy w ogóle pojedziemy. Gdybym mógł powiedzieć chłopakom, że mamy transport i to na sto procent, na trening przybyłoby niemal wszyscy. W zeszłym roku oddaliśmy trzy mecze walkowerem. Według regulaminu powinniśmy zostać zdegradowani, ale złożyłem pismo wyjaśniające w Okręgowym Związku Piłki Nożnej i zostałem wysłuchany.

Każdy wyjazd pociąga za sobą wydatek astronomicznej kwoty trzech, pięciu tysięcy (rekawice bramkarza z prawdziwego zdarzenia kosztują 15 tysięcy). Wyciągnięcie tych pieniędzy z gminnej kasy nie jest prostą sprawą, dlatego Ryszard chwali nową księgową, która idzie piłkarzom na rękę. Ale oglądają się nie tylko za pieniędzmi z gminnej kasy, sami też organizują pieniądze na wszelkie możliwe sposoby. Ostatnio na trzech dyskotekach zarobili 10 tysięcy, co wystarczyło na trzy wyjazdy. Czasem są to po prostu pieniądze z czapki. Posiadanie pieniędzy daje tylko pewną szansę na zorganizowanie wyjazdu, potrzebna jest jeszcze życzliwość osób z różnych przedsiębiorstw, od SKR-u poczynając na Nadleśnictwie kończąc.

Kłopoty z piłkarskim sprzętem zakończyły się dopiero jesienią zeszłego roku. Początkowo nie było na ten cel pieniędzy, a później, gdy znalazły się, nie było sprzętu. Dziś koszulki, spodenki i getry wystarczą dla trzech drużyn, piłkarskie buty mają tylko ci, którzy grają w pierwszym składzie.

Naszą rozmowę kontynuujemy już na ulicy; zbliża się godzina siedemnasta, pora treningu. Treningi odbywają się

ciąg dalszy na str. 3



Jadwiga Nowakowska, działaczka społeczna z Czerwieńska: — Pragnę być wszędzie tam, gdzie jestem potrzebna...
(Rozmowę czyt. na str. 6) Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ



ZOBACZYĆ ŁAGÓW I OŻYĆ

Leon Bukowiecki

Wszyscy znamy słynne powiedzie

nie: „Zobaczyć Neapol i umrzeć z

zachwytu”. Na szczęście Neapol

nie jest „śmiertelnie” piękny. Ale

czy jest w Polsce miejscowość piękn

niej położona, ciesząca się lepszym

powietrzem niż Łagów? Dlatego w

Łagowie można ożyć — jeśli nie

przynębią nas niedobre filmy.

Myślę jednak, że tegoroczny pro-

gram Lubuskiego Lata Filmowego

dorówna urokom Łagowa.

Pokuszę się o próbę syntezy sezonu filmowego 1985-86. Na ekranach mieliśmy czterdzieści filmów: 17 dramatów — „Cień już niedaleko”, „Cztery pory roku”, „Chrześniak”, „Dziewczęta z No wolipek” i „Rajska jabłoń”, „Jestem przeciw”, „Kochankowie mojej mamy”, „Kobieta w kapeluszu”, „Kobieta z prowincji”, „Pismak”, „Przeznaczenie”, „Sezon na bażanty”, „Trzy stopy nad ziemią”, „Wkrótce nadejdą bracia”, „Wakacje w Amsterdamie”, „Zaproszenie”, „Kim jest ten człowiek”, siedem filmów wojennych: pięć filmów dziecięcych „Akademia...”, „Podróże pana Kleksa”, „Porwanie”, „Tato, nie bój się dentystry”, „Zielone kaszany”, po trzy filmy komediowe, muzyczne i niesamowite „Diabelskie szczęście”, „Och Karol”, „Sprawa się rypła”, „Koncert”, „Yestarday”, „Miłość z listy przebojów”, „Lubię niełoperze”, „Medium”, „Zabicie ciotki”, dwa filmy kryminalne „Mokry szmal” i „Przemysłowcy” oraz po jednym filmie dokumentalnym — „Na wszystkich niedostępnych drogach”, kostiumowym — „Ognisty anioł” i rysunkowym — „Straszdyś”.

W całym zestawie nie ma naprawdę wielkiego, reprezentacyjnego filmu. Nie-

którzy realizatorzy cofnęli się w sposób widoczny w stosunku do swych poprzednich osiągnięć. Były też niczym nie usprawiedliwione debiuty.

Rozpatrzmy najpierw filmy o charakterze dramatów współczesnych czy też z nieco wcześniejszej epoki.

„Kobieta z prowincji” to film wybitny, „festiwalowy”, ale hermetyczny, nie mający szans trafienia do szerokiej publiczności. „Kobieta w kapeluszu” — film, który określa się obecnie mianem „wysmakowany”, ale ze względu na przyspieszającą powolność akcji, bez po lotu. Palący problem narkomanii został potraktowany w filmie „Jestem przeciw” w stylu właściwym Trzosiowi — Rastawieckiemu, czyli nieadekwatnym do emocji, które winien budzić. „Kochankowie mojej mamy” to ciekawy dokument obyczajowy z przeświata kreacją Krystyny Jandy i niewiarygodnym zakonowaniem. Bohaterka nagle wyleczyła się z długoletniego pijactwa, połączona z „lekkimi obyczajami”. Stało się to na widok pana średnio atrakcyjnego, ra-

ciąg dalszy na str. 5

Opinie i refleksje

Doświadczenia bratnich partii

W obliczu nadchodzącego X Zjazdu PZPR, tym bardziej istotne stają się dla nas doświadczenia bratnich partii. Obok bowiem przemysłów wynikających z naszej własnej historii i narodowych tradycji — nieocenioną skarbnicę stanowi czerpanie z dorobku innych partii. Dotyczy to w szczególności partii sprawujących kierowniczą rolę w krajach wspólnoty socjalistycznej a zwłaszcza w państwach z nami sąsiadujących, tj. NRD, CSRS i ZSRR. Tak się złożyło, że partie te odbyły niedawno swe kolejne zjazdy a więc mamy do dyspozycji bogatą dokumentację ich zamierzeń i perspektyw rozwojowych.

Z uwagi na to, — pismo nasze ukazuje się na środkowym Nadodrzu a więc regionie granicznym z NRD, zaczynam od spraw dotyczących tego kraju a określonych decyzjami ostatniego Zjazdu NSPJ. Podkreślono tam, że w planowaniu dalszego rozwoju Niemieckiej Republiki Demokratycznej dominować będzie kurs jednolitej polityki ekonomicznej i społecznej. Chodzi o to, aby przy pomocy najnowocześniejszej technologii, pogłębiać intensyfikację gospodarki i znacznie podnieść wydajność pracy. Aby — jak wskazano z trybuny XI Zjazdu NSPJ — w sposób spotegowany, połączyć zalety socjalizmu ze zdolnościami rewolucji naukowo-technicznej.

Podobny program rozwoju uchwalila na swoim niedawnym Zjeździe Komunistyczna Partia Czechosłowacji.

Chciałbym się obecnie zająć — oczywiście w skrócie — rezultatami XXVII Zjazdu KPZR, o którym Wojciech Jazurki powiedział w swoim 1-majowym przemówieniu, że posiada szczególnie doniosłe znaczenie dla całego międzynarodowego ruchu robotniczego, w tym oczywiście również i dla naszej partii. Jeśli dwoma słowami określić atmosferę i uchwyt tego Zjazdu, to najlepiej oddają ją przyspieszenie i przebudowa. Jest to — jak podkreślono na Zjeździe — strategiczna linia partii, mająca na celu jakościowe przekształcenie wszystkich dziedzin społeczeństwa radzieckiego, gruntowne odnowienie jego bazy materialno-technicznej na podstawie osiągnięć rewolucji technologicznej; doskonałe stosunków społecznych a przede wszystkim gospodarczych; głębokie zmiany w treści i charakterze pracy, w materialnych i duchowych warunkach życia ludzi; aktywizację całego systemu instytucji politycznych, ekonomicznych, społecznych i ideologicznych.

Niewątpliwie ważnym akcentem obrad XXVII Zjazdu KPZR była bezkompromisowość partyjnej krytyki: wszystkich niedostatków oraz podkreślenie personalnej odpowiedzialności za pracę na każdym stanowisku. Podawano liczne przykłady złej pracy administracji przedsiębiorstw i innych ogniw, skłonnych często do upiększania wyników dla uzyskania pochwały z góry. Na Zjeździe wskazywano też, że w ciągu ostatniego roku — kiedy to realizowano już założenia nowego programu partii — nastąpiła wyraźna odnowa w aparacie partyjnym, państwowym, administracyjnym, gospodarczym, znacznie przyspieszono także niektóre przedsięwzięcia w sferze społecznej i ekonomicznej, szczególnie pod kątem unowocześnienia i zwiększenia dynamiki przemian technicznych oraz technologicznych.

Z drugiej strony podkreślano, że właśnie np. komputeryzacja w oświacie gwarantuje wyższy poziom przygotowania technicznego, ale i humanistycznego kadr, która decydować będzie o dynamicznym rozwoju Kraju Rad w nadchodzących latach. Podawano m.in. przykład obwodu irkuckiego, w którego szkołach uruchomiono już 1500 gabinetów wyposażonych w sprzęt komputerowy, z którym oswajają się uczniowie najstarszych klas. Jest to ważny aspekt urzeczywistniania tu z rozmachem reformy systemu oświatowego. Reforma realizowana w takim tempie daje gwarancję, że za kilka lat opuszczając szkoły nowe pokolenie absolwentów, przystosowanych do najnowocześniejszej techniki.

Przedstawiłem tylko niektóre z elementów polityki realizowanej obecnie przez bratnie partie dla przyspieszenia rozwoju ekonomicznego i społeczno-politycznego ich krajów. Nie ulega wątpliwości, że doświadczenia tych partii stanowią również istotny czynnik w wypracowaniu przez Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą jej linii działania na nadchodzące lata.

MICHAŁ HOROWICZ

X Zjazd wybierze nowe władze, podejmie decyzje zmierzające do umocnienia kierowniczej roli Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w procesie budowania socjalizmu. Zjazd zdecydował o wyborze strategii rozwoju Polski, obowiązującej do nadziejście następnego tysiąclecia. Wybór ten powinien mieć taką siłę nośną, by uzyskać poparcie wszystkich głównych sił narodu, bo wiara bez tego zasadniczy postęp o charakterze przełomu, nie będzie możliwy. Oczywiście, podczas obrad znajdzie się czas na refleksję o sytuacji obecnej kraju. Powinno to być refleksją egzemplifikacyjną i krytyczną.

Na X Zjeździe, ze względu na jego wagę, powszechność oczekiwań, mało będzie miejsca na wypowiedzi choć słuszne ale płynące z intencji partykularnych, regionalnych bądź resortowych. Na takie wypowiedzi interwencyjne, doraźne, nie będzie miejsca. Zdominowanie obrad przez ten nurt myślenia, w istocie było by nie tyle naprawianiem rzeczywistości, ile jej omijaniem, stawianiem obok niej, albo też zamiast niej.

Zaodrą

Po XI Zjeździe NSPJ

W NRD toczy się nadal ożywiona dyskusja nad wynikami XI Zjazdu NSPJ. Wskazuje się przy tym na decydującą rolę organizacji i instytucji partyjnych w realizacji uchwał Zjazdu. Przy tej okazji dokonuje się podsumowania sił partii i rozmieszczenia partyjnych szeregów. NSPJ liczy obecnie około 2.200.000 członków i ponad 100.000 kandydatów. Wskazuje się na ciągły dopływ do partii nowych, zwłaszcza młodych, kadr (w okresie od X Zjazdu w 1981 do XI w 1986 roku do partii wstąpiło ponad 350 tys. kandydatów). W sumie członkiem lub kandydatem partii jest obecnie co szósty obywatel NRD w wieku powyżej 18 lat, zaś spośród pracujących zawodowo — co piąty. Największą grupę w szeregach NSPJ tworzą robotnicy — 58,2 proc. oraz inteligencja — 22,4 proc. W dalszej kolejności wymienić należy: chłopów — 5,2 proc., urzędników — 7,7 proc. oraz studentów i uczniów — 2,1 proc. Średni wiek członków partii wynosi 44,7 lat.

Dominującym akcentem w obecnej dyskusji, pozajądowej jest położenie nacisku na wszechstronny rozwój ekonomiczny kraju, uwzględniający również cele społeczne. Podkreśla się niezmienność zasady umacniania jednolitej ekonomiki i celów społecznych, rozwoju państwa, silnej gospodarki a jednocześnie bezpieczeństwa socjalnego. Wyrazem realizacji tej polityki jest m.in. program budownictwa mieszkaniowego. W latach 1981—85 zmodernizowano i zbudowano 2,4 mln mieszkań. W ten sposób blisko 7 mln ludzi poprawiło sobie warunki mieszkaniowe. W bieżącej 3-letce, zgodnie z decyzją XI Zjazdu, wybudowany zostanie dalszych milion mieszkań. Do roku 1990 każda rodzina w NRD posiadać będzie samodzielne wygodne mieszkanie.

Jak podkreśla się w dyskusji pożądaną, kanonem polityki gospodarczej kraju jest oszczędność. Konieczność eliminowania technologicznej i materiałochłonnych umiasta została przez XI Zjazd NSPJ za podstawowy warunek rozwoju. Poszukiwanie nowych bar dziej wydajnych i oszczędnych technologii związane jest nierozdzielnie z automatyzacją i intensyfikacją procesów wytwórczych. W dyskusji podkreśla się, że konsekwentnie realizowany jest 10-punktowy program strategii gospodarczej partii na lata osiemdziesiąte, przyjęty na X Zjeździe NSPJ, a rozwinięty na XI Zjeździe w roku bieżącym. Program ten zakłada dalszy postęp w dziedzinie rewolucji naukowo-technicznej, znaczne zwiększenie wydajności pracy, poprawę wykorzystania surowców, paliw i środków trwałych oraz polepszenia jakości i asortymentu wyrobów, zdecydowany wzrost efektywności produkcji, który stanie się możliwy dzięki najnowszym zdobyciom nauki i techniki.

Ruch związkowy

Do związków zawodowych należy w NRD około 98 proc. wszystkich zatrudnionych w przedsiębiorstwach i instytucjach. W Izbie Ludowej Zrzeszenie Niemieckich Wolnych Związków Zawodowych (FDGB) reprezentowane jest przez drugą co do wielkości grupę osób (70 deputowanych na ogólną liczbę 500). Przewodniczący FDGB wchodzi w skład Rady Państwa. Poselska grupa związkowa reprezentowana jest w prezydium Izby Ludowej oraz ma swoich przedstawicieli w poszczególnych komisjach parlamentu. Polskiej komisji pracy i polityki społecznej przewodniczy reprezentant grupy związkowej. Związki zawodowe reprezentowane są również w miejscowych organach władzy — w okręgach, powiatach, miastach i gminach.

Działalność związków zawodowych w zakładach pracy ma na celu współdecy-

X Zjazd zdominowany być powinien realizacyjnym widzeniem spraw kraju, z wykorzystaniem również doświadczeń poprzedniego, nadzwyczajnego zjazdu. IX Zjazd zaproponował politykę porządku państwa, reformę gospodarczą, przy dokonywaniu wyboru strategicznego, eliminować elementy „socjalizmu drobnomieszczańskiego”, opierać na rzecz socjalizmu rozumianego i akceptowanego przez klasę robotniczą, oczywiście w realiach wyznaczonych

Przed X Zjazdem PZPR

0 najważniejszym

czą, wytyczył drogę wyjścia z dramatycznego zaułka kryzysu. W dużym stopniu linia tego Zjazdu potwierdzona została przez życie. Z bogactwa doświadczeń międzynarodowego ruchu robotniczego, zwłaszcza zaś z doświadczeń KPZR i obrad jej XXVII Zjazdu czerpać możemy odwagę i bezkompromisowość w ocenie stanu rzeczy. Nasz IX Zjazd udowodnił, że Polska Zjednoczona Partia Robotnicza stała na takiej odwadze, bezkompromisowość ale też na konsekwentności w działaniu. Konieczności nakazu-

przez dokonującą się rewolucji naukowo-technicznej.

Osią, wokół której toczy się będą obrady Zjazdu, jak się wydaje, będą wszystkie kwestie związane z samorealizacją społeczeństwa poprzez pracę. Ekonomia była, jest i będzie akuszerką wszelkiego postępu. Nie ma ekonomii bez pracy. Podniesieniu rangi pracy, uczynienie z niej faktycznego, bezfrazowego miernika oceny człowieka, jego wartości, można podporządkować wszystko inne.

dowanie przez robotników w sprawach planowania i zarządzania, produkcji i podziału dóbr. Działalność ta rozwija się w dwóch kierunkach: mobilizowania ludzi pracy do realizacji zadań gospodarczych, społecznych, politycznych i ochrony praw pracowniczych oraz w kierunku odpowiedzialnego współdziałania z log pracowniczym w podejmowaniu decyzji i w kontroli wykonywania zaplanowanych zamierzeń i zadań. W praktyce wygląda to następująco: w połowie roku dyrekcje zakładów oraz rady zakładowe przekazują załogom projekty planów na rok następny w celu otrzymania od nich opinii i poprawek. Plan opóźnień spraw produkcji obejmuje również zamierzenia dotyczące ochrony i warunków pracy, zagadnień mieszkaniowych, opieki nad dziećmi, dojazdów do zakładów pracy itp. Każdy plan omawiany jest w grupach związkowych i musi uzyskać aprobatę całej załogi.

Prócz planu najważniejszym dokumentem jest załącznikowa umowa zbiorowa, która zawierana jest corocznie między dyrekcją zakładu pracy a radą zakładową — reprezentującą załogę. Umowa reguluje wszystkie istotne dziedziny życia wewnątrzzakładowego, poczynając od inicjatyw służących rozwojowi socjalistycznego współzawodnictwa, zwiększenia wydajności pracy na warunkach materialnych zatrudnionych kończąc. W umowach zawarte są również plany specjalne odnośnie priorytetowego rozwiązywania problemów pracujących kobiet, matek i młodocianych. Tak jak przy opracowywaniu planu, również i w tym przypadku, projekty umów przedkłada się załogom do zapoznania się z nimi i wyrażenia swej opinii. Z wykonania ustalonych w umowie zobowiązań dyrekcje składają regularne sprawozdania. Pracownicy mają prawo do występowania z publiczną krytyką (słowną i piśmenną) w przypadkach, jeżeli warunki umowy nie są dotrzymywane. Grupy związkowe decydują również, jakie zadania należy włączyć do programu współzawodnictwa pracy. Ruch współzawodnictwa ma także uświadomić, że jedynym źródłem dobrobytu może być tylko solidna praca.

Podróże

wewnątrzniemieckie

Z danych federalnego ministra stonków wewnątrzniemieckich na temat ruchu osobowego w roku 1985, zamieszczonych przez miesięcznik „Deutschland Archiv” (nr 3) z 1986 r., wynika że w prawie wszystkich dziedzinach tego ruchu nastąpił wyraźny wzrost w stosunku do roku 1984 i 1983. Tak np. liczba podróży tranzytem między RFN a Berlinem Zachodnim wzrosła w roku 1985 o 9 proc. w stosunku do roku poprzedniego — 23,76 mln. Rok wcześniej podróży tranzytem było 21,8 mln. Liczba podróży tranzytem z RFN do NRD lub przez NRD do krajów trzecich wyniosła w 1985 r. 3,68 mln, co oznacza wzrost o 3,7 proc. w stosunku do roku 1984. Liczba ta obejmuje również 318 000 osób, które skorzystały z możliwości od wiodzenia krewnych w NRD w ramach tzw. małego ruchu przygranicznego, który jednak spadł o 7,4 proc. w stosunku do roku 1984. Thumaczy się to tym, że obecnie możliwe są nie tylko wyjazdy do jednodniowe, lecz dwudniowe. Część więc jedzie rzadziej, ale przebywa dłużej w NRD.

Jeśli chodzi o podróże emerytów z NRD do RFN, to wzrosły one o 3,9 proc. W roku 1985 do RFN udato się 1,6 mln emerytów. (w roku 1984 — 1,54 mln). Tym samym rok 1985 był rekordowy, jeśli chodzi o podróże emerytów do RFN i Berlina Zachodniego. W pilnych sprawach rodzinnych udało się w roku 1985 do RFN 66 000 mieszkańców NRD, będących jeszcze w wieku produkcyjnym, czyli o 8,2 proc. więcej niż w roku 1984.

Budownictwo jednorodzinne

W NRD od 1971 r. wybudowano ogółem ponad 181 tys. domków jednorodzinnych, dzięki czemu poprawiono warunki mieszkaniowe 650 000 osób. Udział budownictwa jednorodzinnego w całym budownictwie mieszkaniowym wzrósł do

12 proc. 68 proc. nowych domków jedno-rodzinnych zamieszkuje rodziny robotników oraz pracowników rolniczych spółdzielni produkcyjnych, 18 proc. rodziny wielodzietne. W latach 1981-1983 najwięcej domków jednorodzinnych wybudowali mieszkańcy Karl-Marx-Stadt, Drezna, Halle oraz Lipska.

ZaŁabą

Mity i sympozjum!

Tak nazwało jedno z ponadregionalnych pism zachodniemieckich agnetywną, zaciekawiającą i antypolską imprezę, która niedawno odbyła się w Bonn. Sympozjum na temat młodych sam z siebie. „Sytuacja Niemców na Śląsku i w innych częściach wschodnich Niemiec”. Organizatorami byli: Sekcja Niemiecka Europejskiej Konferencji na rzecz Praw i Prawo do Samostanowienia, oraz „Młodzież Śląska”, czyli przybudówki ruchu odwoławczego. W imprezie nie brali tym razem udziału czynniki oficjalne, lecz o ich poparciu świadczyło samo miejsce imprezy — sala w siedzibie rządzącej CDU-Domu im. Konrada Adenauera. Celem sympozjum było udowodnienie istnienia silnej mniejszości niemieckiej w Polsce oraz domaganie się specjalnych przywilejów dla tej rzekomej mniejszości. Podstawowym dogmatem była teza o istnieniu Rzeszy Niemieckiej w granicach z 1937 r. a na tej kan wie każdy z dyskutantów nie szczędził kłamliwych zarzutów i oskarżeń pod adresem naszego kraju i społeczeństwa. Również ostro krytykowano jednak własny rząd, który powinien całą swą politykę wobec Polski: „podporządkować kwestię praw dla niemieckiej grupy narodowościowej”. Był to pierwszy z 10-punktowego programu przedstawionego przez przewodniczącego Młodzieży Śląskiej, Koszyka, przewidującego również powołanie specjalnego pełnomocnika rządu dla tego rzekomego problemu i naturalnie odpowiednich funduszy. Gdy na konferencji prasowej po sympozjum kilku dziennikarzy usiłowało uzyskać konkretne dane dotyczące rzekomej mniejszości i jej skupisk, wskazując na wieloletnią akcję łączenia rodzin, okrzykniano ich lewicowcami, popierającymi propagandę komunistyczną. Zdaniem organizatorów, każdy, kto urodził się na terenach należących do Rzeszy przed dniem kapitulacji, jest i pozostanie Niemcem. Opisujący tę imprezę sprawozdawca doszedł do wniosku: „jeśli nie ma problemu faktycznej mniejszości, to trzeba go stworzyć krzykiem. Nie jest to nic nowego, przecież taką politykę stosowano u nas już w okresie między I i II wojną światową.” (TEMA)

Bilans „Roku młodzieży”

Rok 1985 był „Międzynarodowym rokiem młodzieży”; ogłosiło go ONZ pod hasłami: „współdziałanie, rozwój, pokój”. Jednak w Republice Federalnej — w ocenie p. Susanne Messner z Bonn, która na zlecenie Federalnego Ministerstwa Młodzieży i specjalnie powołanej komisji krajowej, przez cały ubiegły rok starała się zainteresować polityków i społeczeństwo problemami młodzieży, „Międzynarodowy Rok Młodzieży” stał się w RFN niewypałem i „nie przyniósł większych rezultatów na polu polityki federalnej”.

Również przewodniczący zachodniemieckiej federacji organizacji młodzieżowych Klaus Westermann uważa, że bilans „Roku Młodzieży” w RFN jest negatywny: „w porównaniu z założonymi celami rok ten przyniósł rozczarowanie w zakresie polityki młodzieżowej”. Przemawiając na konferencji działaczy młodzieżowych w Wuerzburgu, przewodniczący federacji młodzieżowej podkreślił, że początkowy sceptycyzm wobec „Roku Młodzieży” potwierdził się w dużej mierze. Politycy i świat gospodarki RFN nie popierali spraw młodzieży. We wszystkich sferach społecznych brak było godnych uwagi starań o poprawę szans młodego pokolenia. Jeśli chodzi o bezrobocie wśród młodocianych, to pod koniec roku 1985 było ono „bardziej alarmujące, niż kiedykolwiek

Obecne kłopoty, samopoczucie, krędy cia klas i warstw, przemieszczanie zasad funkcjonowania reformy społecznej, postęp naukowy — techniczny, skuteczność walki z patologiami, siłę i nowoczesność państwa — za czym wszyscy tęsknimy, eksport, apłatek długów zagranicznych, wreszcie bezpieczeństwo i miejsce Polski w świecie.

Świadomość, że źle pracujemy, że istnieją obiektywne czynniki partackie roboty, destrukcyjne wpływa na stan psychiczny Polaków jako zbiorowości. Degraduje ich w oczach cudzych i własnych. Dlatego nie ma sprawy ważniejszej dzisiaj i jutro, jak podnieść w Polsce pracę do rangi najwyższej. Zjazd spełni swój cel, jeśli przed pracą — mądra, sensowna, sprawna, otworzy wszystkie horyzonty. Praca, to nie tylko ekonomia, również a może przede wszystkim wielka wartość humanistyczna, kreująca człowieka. Najszlachetniejszą, najpiękniejszą programy będą miały wartość zadrutowanego papieru, jeśli za nimi nie będzie stała praca wszystkich Polaków.

przedtem”. Również w dziedzinie oświaty dzieje się niedobrze i wg. Westermanna, studia wyższe znów stały się przywilejem lepiej sytuowanych warstw społecznych.

Związek Niemieckiej Młodzieży Katolickiej jeszcze przed zakończeniem „Roku Młodzieży” oświadczył, że „nie da się zaprzeczyć dołka mającego pełnić funkcję alibi”. Przedstawiciel związku w Komisji Krajowej, Thomas Mergel, oskarżył ostatnio to gremium i oświadczył, że byłoby fatalnym błędem, jeśli byśmy byliśmy federalnego ministra rodziny, młodzieży i zdrowia, Reinera Gelsiera, że kłótnia „sama skazała się na bezczynność”. Mówiono wiele o festiwalach piosenek młodzieżowej, a o poprawie sytuacji w zakresie kształcenia — bardzo mało.

Jak pisał znany publicysta zachodniemiecki, Burghard Reksin, na łamach biuletynu DEUTSCHE PRESSE AGENTUR: „przedstawiciele młodzieży zachodniemieckiej z zadróżką patrzą na to, co „Międzynarodowy Rok Młodzieży” przyniósł w innych krajach. W Trzecim Świecie, w przeciwieństwie do Republiki Federalnej, podjęto liczne inicjatywy, które także w przyszłości będą popierane przez rządy tych krajów. Młodzież Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych mogła przynajmniej zabrać głos na sesji NZ w Nowym Jorku, natomiast młodym Niemcom z RFN nie udało się dołączyć do tego kraju przy ONZ. Hans-Werner Lautenschlager, Młodzież zachodniemiecka jest z tego powodu szczególnie rozczarowana”.

Również Gelsier świadczy, nie współpracował z organizacjami młodzieżyowymi, zwłaszcza lewicowymi. Uważa ją one, że jego odmowa przyznania funduszy na podróż delegacji młodzieżowej do Nikaragui i na udział w Moskiewskim Festiwalu Młodzieży nie była czymś jednorazowym, lecz stanowiła oznakę „głębszej federacji”. Obecnie działacze młodzieżowi liczą na to, że współpraca z następczynią Gelsiera — Ritą Suessmuth, będzie się lepiej układać.

Karl Dedecius

laureatem nagrody

im. Wielanda

Ufundowaną przez ministerstwo Nauki i Sztuki Badenii-Wirtembergii nagrodę im. Christoph'a Martina Wielanda otrzymał dr Karl Dedecius, wybitny zachodniemiecki literaturoznawca i tłumacz z języka polskiego. Nagrodę przyznał mu Dedeciusowi „Freundeskreis zur internationalen Förderung literarischer und wissenschaftlicher Übersetzungen” przede wszystkim za tłumaczenia poezji Tadeusza Różewicza. Od wielu lat dr K. Dedecius kieruje zachodniemieckim Deutsches-Polen Institut, który postawił sobie za zadanie zbierać dzieła literatury, ułatwiać niemieckiemu czytelnikowi i twórczością polskich pisarzy. W wydanej „Polskiej Bibliotek” ukazały się utwory Miłosza, Żeromskiego, Krasińskiego, Andrzejewskiego, Korczaka, Leica, Mroka. Dedecius zapowiada dalsze powieści, dramaty i poezję polskich.

Zakonnicy z Polski

w RFN

Do znajdującego się w Bensheim (Hesja) XVII-wiecznego klasztoru przybyło czterech polskich franciszkanów. Przed czterema laty z powodu braku lokatorów episkopat niemiecki klasztor zamknął. W ubiegłym roku na mocy porozumienia między kurją biskupią w Moguncji a sekretariatem Episkopatu Polski — franciszkanie z Prowincji NMP na Śląsku przeniesli się do RFN. Pierwszym klasztoru został ojcze Idzi Tio, były wileński Dachau. Wacław Dąbrowski jest duszpasterzem w szpitalach w Bensheim i Heppenheim. Wiktor Gwóźdź zakrzył się do furtianin, Józef Czura spełnia rolę rodzica dla młodzieży na terenie diecezji moguncyj. Jak twierdzą zakonnicy, miejscowa ludność rzadziej niż w Polsce zwraca się do nich ze swoimi problemami.

W ostatnich numerach „Nadodrza” zastanawialiśmy się nad problemami środowiska studenckiego Zielonej Góry i Gorzowa Wielkopolskiego. Zamieściliśmy następujące wypowiedzi: Małgorzaty Kowalskiej-Masłowskiej „Gdzie jesteś studencie?” (nr 8), i „Kultura studencka. Próba wyjścia z kryzysu” (nr 10) oraz Barbary Obremskiej „Przeciąg” (nr 11). Obecnie uwagę naszą kierujemy w stronę absolwentów, bowiem od maja trwają na uczelniach obrony prac magisterskich. 310 absolwentów Wyższej Szkoły Pedagogicznej i 184 absolwentów Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze rozpocznie dorosłe życie; będzie uczyć, pracować, wychowywać. Na każdego absolwenta WSP poza kończącymi filologię germańską — czeka prawie pięć ofert z niemal całego kraju.

Określenie „absolwent” rozumiemy w sensie potocznym: absolwent to ten, kto kończy studia i jest po egzaminie magisterskim lub krótko przed nim. Natomiast w myśli artykułu 94 Ustawy o szkolnictwie wyższym — za absolwenta uznaje się tego studenta, który pomyślnie zdał egzamin magisterski. Nasi dzisiejsi rozmówcy skończyli studia — w



WIKTOR POLAKOWSKI „Idę na sześć lat do szkoły na wieś”

rozumieniu potocznym, ale są jeszcze przed obroną swych prac magisterskich i prawnie pozostają studentami.

Jak oceniają studia i swą najbliższą przeszłość, jakie mają marzenia? Takie pytania zadaliśmy trzem najlepszym absolwentom historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej: Eugeniuszowi Chalupce, Dariuszowi Markowskiemu i Wiktorowi Polakowskiemu.

Małgorzata Kowalska-Masłowska — Skończyliście studia. Będziecie uczyć?

Dariusz Markowski — Ja pracuję już od kwietnia na stanowisku asystenta — stażysty w Zakładzie Nauk Politycznych naszej uczelni.

Wiktor Polakowski — Natomiast ja idę na sześć lat do szkoły na wieś. Niedawno byłem u inspektora i pytałem o pracę. A czym się pan interesuje? — pado pytanie. Odpowiedziałem: tym, tym, tym... Bardzo dobrze — sportem, turystyką — tego nam potrzeba. — Ale ja chcę mieszkanie — dodałem. I wtedy usłyszałem: Przecież pan może mieszkać u teściowej!

Eugeniusz Chalupka — Ja z kolei wracam na wieś — do Przewozu. Rodzice

są w takim wieku, że muszą im pomóc. O własnym mieszkaniu na razie nie mogę marzyć. Co prawda, buduje się dom nauczycielski, ale raczej nie dostanę przydziału. Najpierw będą brani pod uwagę zasłużeni, potem żonaci, na końcu dopiero kawalerowie, jak ja. Szkole jestem przede wszystkim kim potrzebny jako pracownik, który być może stworzy zespół sportowy, muzyczny, uaktywni środowisko, rozrusza je. Tak jest w sytuacji każdego młodego nauczyciela. Gdy zaś ów „młody” próbuje stać się dorosły i dyktuje warunki — pryska miły nastrój i rozkładają się ręce. Ręce dyrektora, inspektora.

W. Polakowski — Studia postarzały nas o kilka lat i nie jesteśmy już „tacy młodzi”. Ale jedna ze studentek zachodnich opowiadała mi, że jej pani dyrektor bardziej lubi nauczycieli z maturą niż z dyplomem magisterskim.

W żadnej wsi historyk nie dostanie pełnego etatu w swoim kierunku. Lekcji wychowania obywatelskiego i historii jest trzynastę godzin, trzeba więc uczyć jeszcze np. wf-u, wychowania plastycznego. Ekat teraz to osiemnaście godzin. A podobno wymiar ten ma być podniesiony.

D. Markowski — Chyba do dwudziestu godzin. A wiadomo, że w szkolnictwie pensję podwyższa się godzinami nadliczbowymi.

M. Kowalska-Masłowska — Czy macie kompetencje, aby oprócz historii i wychowania obywatelskiego, uczyć innych przedmiotów?

D. Markowski — Mieliliśmy metodykę historii poszerzoną o metodykę nauki o społeczeństwie. Jeśli ktoś zdawał na historię — musiał znać geografii. Było to pięć lat temu, ale przecież, cały czas ucząc się, trzeba do geografii powracać.

W. Polakowski — Dużą rolę odgrywa zainteresowania. Genek może uczyć muzyki, ja — właśnie geografii, poza tym będę uczył wf-u.

M. Kowalska-Masłowska — Co robicie społecznie?

D. Markowski — Wspólnie z kolegami zorganizowaliśmy w WSP Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Prowadziliśmy go trzy lata, a teraz musiałem zwolnić się z funkcji, ponieważ piszę pracę magisterską. Wiktor Polakowski z kolei rozkręcił turystykę, był szefem rady mieszkańców w akademiku.

W. Polakowski — Na pierwszym roku wybrano mnie wiceprezesa klubu turystycznego. Byłem nim przez dwie kadencje, potem skłóciłem się z „młodymi”, którzy za dużo piją na imprezach. Wypisałem się z jednego klubu, założyłem następny i w ciągu dwóch lat no wy klub „dolożył” staremu w rywalizacji.

E. Chalupka — Byłem na uczelni przewodniczącym Związku Młodzieży Wiejskiej, potem wiceprzewodniczącym Okręgowej Rady Akademickiej ZMW w Zielonej Górze. Teraz będę chciał podjąć działalność na terenie gminy w Zjednoczonym Stronnictwie Ludowym. Interesują mnie głównie sprawy ideologii, udziału chłopów we współżyciu krajem. Trzeba przekonać wielu, że aby prowadzić odpowiedzialną politykę rolną, muszą być do tego

lat i nie bardzo spieszone się, by kończyć studia. Bardziej opłacało się studio wać niż pracować — niektórzy studenci pracujący w czasie nauki zarabiali po kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie. Często odbijało się to na wynikach w nauce i późniejszej pracy za wodowej. Nie chciałbym tego problemu spłycać, a zastanowić się nad jego przyczynami. Główny winowajca to oczywiście niskie wynagrodzenia absolwentów, które w naszym wypadku wahały się od dziesięciu do dwunastu tysięcy złotych miesięcznie.

W. Polakowski — Zgadza się, że na leżało zmusić studentów do terminowego kończenia studiów. Ale konsekwencje, jakie ponosi się za nienapisanie pracy w odpowiednim terminie, z różnych przeciw powodów, są niewspółmierne do rzeczywistej sytuacji. Co prawda, dwa lata na pisanie to jest dużo, lecz zdarza się, że zbieranie materiału przekroczy założony limit.

niki w nauce w poprzednim roku? Abstrahując od tego problemu, wydaje mi się, że kwestia stypendium jest jedną ze spraw, jaka udała się ministerstwu. W ustawie mamy zapisane, iż student otrzymuje stypendium przez dziesięć miesięcy. Jeśli w grę wchodzi prawie pięć tysięcy — to jest różnica: mieć, a nie mieć pięćdziesiąt tysięcy złotych rocznie za dobrą naukę. Choć pieniądze to sprawa wtórna. Najpierw warto się uczyć dla samego siebie, dopiero potem — dla pieniędzy.

M. Kowalska-Masłowska — Co sądzicie o swoich kolegach?

E. Chalupka — Wydaje mi się, że nasz piąty rok był ostatnim rokiem, który myślał nie tylko o sobie, ale też o innych studentach. Przykładem jest Dariusz Markowski, który w imieniu wszystkich kolegów zabiegał o zwrot wstrzymanego stypendium za osiągnięcia w nauce. Bardzo wiele w tej kwestii, a także w powstaniu i rozwoju samorządu

ABSOLWENCI

M. Kowalska-Masłowska — Jakie są tematy waszych prac magisterskich?

E. Chalupka — Moja praca dotyczy muzyki w epoce baroku. Piszę u docenta Bartkiewicza.

D. Markowski — Moja zaś traktuje o Komunistycznej Partii Polski w okresie międzywojennym. Chociaż profesor Szczegółka prowadzi zajęcia z historii najnowszej i dał studentom pulę tematów z tego okresu — zgodził się, abym pisał o sprawach nieco wcześniejszych.

W. Polakowski — Natomiast ja piszę o PTTK na terenie województwa zielonogórskiego. Profesor Szczegółka odradzał mi, bo materiały są rozproszone i jest ich niewiele. Chętnie miał rację. Teżarzystwo opiera się na działaczach społecznych, a oni z kolei na pracownikach etatowych. Zródeł więc szukać muszę bezpośrednio u ludzi związanych z PTTK oraz w archiwach terenowych.

D. Markowski — W opinii wykładów, m. in. docenta Olejnika z UAM w Poznaniu — tematy prac studentów z naszego roku są ciekawe, ambitne i trudne.

M. Kowalska-Masłowska — Jak z perspektywy absolwentów oceniacie swoje studia?

D. Markowski — Z jednej strony, ze względu na psychiczny „luz”, nadal chciałoby się studiować, z drugiej zaś kusi chęć usamodzielnienia się. Zadowolony jestem ze studiów, choć przyznaję, że wyobrażałem je sobie inaczej. Myślałem, iż inna będzie specyfika tej uczelni, tzn. — w pewnym sensie „szkolny”. Dlaczego się poprawiłem i powiedziałem „szkolny”? Za sprawą języków obcych. Skończyłem liceum nr 7 w Zielonej Górze i wyniosłem z niego dobrą znajomość języka niemieckiego. Tymczasem na studiach nie poczyniłem żadnych postępów. Inaczej wyglądało to na zajęciach z historii, filozofii, gdzie prowadzący potrafili znaleźć z nami wspólny język. Dyskusje wtedy prowadzone poszerzały naszą wiedzę, zainteresowania, osobowość. Dlatego dni, w których miałem lekturaty, były dniami szarymi, nerwowymi — to pytanie zadaje sobie do tej pory.

W. Polakowski — Ja również z niemieckiego byłem stosunkowo niezły — mogłem się swobodnie porozumieć. Tym czasem na studiach stanąłem w miejscu.

E. Chalupka — Moje zdanie jest odmienne: na studiach pogłębiłem znajomość języka rosyjskiego, którego w szkole średniej miałem 6 godzin tygodniowo. Wydaje mi się, że piesz jest gdzieś indziej pogrzebany: język się kończy, zdajemy egzamin, w indeksie wpisano ocenę 1... nikt więcej owym językiem się nie zajmuje. Uważam, iż języka obcego trzeba uczyć się samemu i systematycznie — innej rady nie ma. To jest tak, jak z muzyką — jeśli nie ćwiczysz się na klawirze codziennie przez trzy godziny, wtedy instrument zdradzi.

D. Markowski — Ustawa o szkolnictwie wyższym o której zaczęliśmy mówić ma swoje plusy i minusy.

M. Kowalska-Masłowska — Czy odzwuclacie te minusy?

D. Markowski — Pojawili się nowe problemy dotyczące manipulacji stypendiami, przede wszystkim uznaniowymi. Mieliliśmy półtoramiesięczną praktykę w szkołach średnich i za miesiąc, za który wypłacono pieniądze za praktykę — nie dostaliśmy stypendium. Zgodziłybyśmy się, że można nam zabrać stypendium socjalno-bytowe, ale dlaczego uznaniowe, które przecież dostaliśmy za wy

uczynili — Wiktor Polakowski i Mirek Polaczyk.

D. Markowski — Pamiętam, jak przyszliśmy na studia w 1981 roku, w bardzo przecież ciężkim czasie. W NZS-ie (Niezależne Zrzeszenie Studentów — MKM) było 14 osób, my zrobiliśmy KZMP (Komunistyczny Związek Młodzieży Polskiej — MKM). Nasz rok był wewnętrznie podzielony, walczyli: prawnicy — NZS, lewica — KZMP i środek — SZSP, jeszcze przed rozwiązaniem.

E. Chalupka — Był też AZMW (Akademicki Związek Młodzieży Wiejskiej — MKM), którego głos nieraz przechrzął szale zwycięstwa dla jednej ze stron... Siła naszego roku polegała na tym, iż mimo dużych nieraz różnic światopoglądowych, ideowych — byliśmy zawsze razem.

W. Polakowski — Mimo naprawdę dzielących nas różnic i podziałów tworzyliśmy całość. Mówiło się o nas — „mocny rok”. Mieliliśmy średnią powyżej czwórki. Na trzydziestu osób na roku — tylko jedna osoba nie dostała stypendium uznaniowego, bo miała średnią niższą niż 3,75. Zasiadłem — miało stypendium najwyższe. Gdy więc słyszę, np. w dzienniku telewizyjnym



DARIUSZ MARKOWSKI „Nasz rok był wewnętrznie podzielony, walczyliśmy...”

wypowiedź jakiegoś, pożałujcie Boże, studenta, który mówi, że ma 3,5 i dodaje: „studenci nie chcą się uczyć”, złościę się i denerwuję.

D. Markowski — Panowała wśród nas bardzo zdrowa rywalizacja. Na pewno też na historii nie mogliśmy „wyzwalać się” od kulonów. Sytuacja na to nie pozwalała. Oprócz nauki były przecież imprezy — było ich bardzo dużo i pozwalały łączyć „przyjemne z pożytecznym”.

E. Chalupka — Niestety, wszyscy obserwujemy niepokojące zjawisko — pierwsze lata nie uczą się i chyba jedynie piją. Nie wiadomo, po co ci ludzie przyszli na studia. Na egzaminie bywa po sześć lub siedem dwój.

D. Markowski — Nasz rocznik umiał zachować właściwe proporcje między pracą a rozrywką. Dobra impreza, wymiana poglądów przy butelce piwa, zawsze była bodźcem do większej przyjaźni, zażyłości, zrozumienia. Wreszcie, do właściwie — bo dla zdobycia wiedzy — pojętego studiowania.

MAŁGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA
Fot. MIECZYSLAW JURGA



Od Długosza do Parczewskiego

Nakładem Wydawnictwa Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze ukazał się wybór tekstów dotyczących myśli wielkich Polaków o ólczystych Ziemiach Zachodnich. Wyboru dokonali i opracowali pracownicy naukowi WSP — docenci Kazimierz Bartkiewicz i Joachim Benyskiewicz.

Zaprezentowano w tej publikacji sylwetki 16 autorów i ich myśli o Ziemiach Zachodnich. Są to w ko-

lejności: Jan Długosz, Marcin Kromer, Stanisław Lubieński, Adam Na ruszewicz, Hugo Kollataj, Joachim Lelewel, Józef Ignacy Kraszewski, Edmund Callier, Józef Szulski, Michał Bobrzyński, Bolesław Prus, Bolesław Wyslouh, Jan Popławski, Roman Dmowski, Teodor Tyc i Alfons Józef Parczewski.

W dokonanym wyborze autorzy publikacji kierowali się przede wszystkim przekonaniem, iż w społeczeństwie polskim w całym okresie XV-XIX wieku pamięć o utraconych ziemiach polskich była ciągła, choć różna była ich struktura i różne motywacje ideowe.

Wybór ten obejmuje, z natury rzeczy, nosicieli polskiej myśli historycznej i politycznej. Wybitni Polacy wyrażają swoje poglądy na Ziemiach Zachodnich poprzez różne formy wypowiedzi — naukowe, publicystyczne i literackie.

W krótkich zarysach biograficznych poszczególnych autorów zwrócono uwagę na te elementy, które miały szczególny wpływ na kształtowanie się ich poglądów i zainteresowań historyczno-politycznych, w tym zwłaszcza dotyczących Ziemi Zachodnich.

Zamieszczone w publikacji teksty (wypowiedzi), dotyczą m.in. takich zagadnień jak: etnogeneza mieszkańców i pierwotna przynależność polityczna ziem nadodrzańskich, przesy-

ny ich utraty przez Polskę, polskie uprawnienia, starania i zaniechania rewindykacyjne, wreszcie koncepcje i programy polityczno-terytorialne.

Wypowiedzi te początkowo (od Długosza do Lelewela) są bardziej fragmentaryczne, nie ma znaczenie obszerne, zawierają zgodnie z przyjętym przez autorów publikacji założeniem — głównie opinie, poglądy i oceny ich autorów, natomiast opis historyczny, w niektórych przypadkach nieodłączny, pełni w nim rolę uboczną, pomocniczą.

Ingerencje autorów wyboru w cytowane wypowiedzi są rzadkie. Ograniczają się w istocie do niezbędnych uściśleń i wyjaśnień, głównie o charakterze datacyjnym i terminologicznym oraz koniecznej pewnej modernizacji ich języka.

Rolę wspierającą i wzbogacającą wypowiedzi pełni zamieszczony w publikacji materiał ikonograficzny.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

Z dzieł myśli o polskich ziemiach zachodnich. Od Długosza do Parczewskiego. Wybór tekstów i opracowanie: Kazimierz Bartkiewicz i Joachim Benyskiewicz. Zielona Góra 1985. Stron 214. Nakład 2000 egz. Cena 250 zł.

Łagów '86

W ub. roku dziennikarze i współpracownicy „Nadodrza” odwiedzili gminę Brody, w wyniku czego ukazała się później na łamach pisma cała kolumna refleksji, spostrzeżeń, komentarzy i mini-reportaży, prezentujących ludzi i problemy tej niewielkiej zielonogórskiej gminy.

Kontynuując ten zamysł, w połowie maja br. „Nadodrza” gościło tym razem w łagowskiej gminie. Pragnęliśmy zająć się nie tylko samym Łagowem, lecz także problemami okolicznych wsi. W wiejskich klubach oraz w łagowskiej szkole spotkaliśmy się z ludźmi różnych generacji uprawiającymi różne zawody. Usłyszeliśmy o ich troskach i kłopotach, ale również — o ich satysfakcjach i osiągnięciach.

Oczywiście, szczególnie interesował nas sam Łagów. Podczas spotkania z władzami gminy: przewodniczącym Gminnej Rady Narodowej Bogusławem Barszczem, I sekretarzem KG PZPR Romualdem Kurytą i naczelnikiem Mirosławem Popkiem omówiliśmy, z głębokim zainteresowaniem, przyszłość tej „perły” Ziemi Lubuskiej, wiele istotnych problemów, zwłaszcza w aspekcie pilnej potrzeby powstrzymania zagrożenia ekologicznego tej wczasowej miejscowości, przyspieszenia budowy sieci kanalizacyjnej i oczyszczalni ścieków, intensywniejszego rozwoju całej infrastruktury... A tych wszystkich potrzeb nie są w stanie rozwiązać same władze gminne. Niezbędna jest większa niż dotychczas pomoc władz wojewódzkich. Niestety, apele kierowane od kilku lat pod adresem Urzędu Wojewódzkiego, publikacje prasowe i interpelacje radnych jak dotychczas nie przynoszą oczekiwanych rezultatów...

Zaczyna się tu sezon...

Każdemu, komu nazwa Łagów Lubuski obita się chociaż tylko o uszy, miejscowość ta kojarzy się z Lubuskim Latem Filmowym, jeziorami, a czasem z filmem Rybkowskiego „Godziny nadziei”. Słowem — miejscowość wypoczynkowa-festiwaliowa; publicysta weselej dekady napisałby o lubuskich Karłowich Varach.

W konfrontacji z jego architekturą i gęstą zabudową, trudno mówić o Łagowie jako o wsi, jednak fakty i władze mówią o innym: Łagów Lubuski jest wsią letniskową o liczbie 1450 stałych mieszkańców, żyjących przez dziesięć miesięcy w roku problemami codzienności, a przez dwa najazdem turystów.

Są na świecie liczne miejscowości, czy całe regiony, w których — dzięki turystom — panuje dobrobyt. Lecz polska rzeczywistość nie znosi takich paradoksów. W Łagowie, poszczególni łagowianie czerpią z letniskowego boomu pewne profity, ale 1450 mieszkańców, jako społeczność i sama miejscowość, mają z tego przysłówiową figę. Wsi letniskowa Łagów Lubuski jest przykładem rabunkowej gospodarki, zaprzeczania wielkich potencjalnych możliwości, funkcjonowania złych przepisów i negatywnych modeli w krajowej gospodarce turystycznej. Kto w Łagowie korzysta z najazdu turystów? Odpowiedź nie jest skomplikowana: właściciel budki z lodami, właściciel smażalni ryb, właściciel kwatery, parę prostytutek i cichodajek oraz klubowiczy od węgorki. Zjazd filmowców jest jednym z nielicznych powodów do wymieniania nazwy miejscowości na łamach centralnych czasopism. Natomiast wątpliwym już staje się zysk, uzyskany od krajowego turysty — celowo zaznaczam, że krajowego, zaś czeka nie na nadzianego forsa Szweda lub Niemca stało się zajęciem jałowym. Dla zachodniego turysty bardziej opłacalne są wczasy na Majorce, niż w łagowskim zamku, a do tego dolarowy burzuj ma pewność, że nie musi zabierać tam rolki papieru toaletowego. A więc wracając do krajowego turysty, to w Łagowie Lubuskim poza wspaniałym powietrzem i widokami na jeziora i lasy, wchodzi w grę choroba. Nie kusi jezioro za nieczyszczone fekaliami, baza gastronomiczna i jej oferty wywołujące dolegliwości serca, wzdęcia i żołądka, a rozrywka tyle co telewizja i monopol spirytusowy nakapią.

Najazdy turystów skutecznie podgrzewają żebra zębatego molocha pn. „Lubtour”, sprzedając sen z powiek komendantów milicji i władzom. I w zasadzie ci turyści, którzy przyjeżdżają do Łagowa z większymi czy mniejszymi pieniędzmi, nie są nikomu potrzebni. Władze gminy i bez turystów mają wystarczającą do osiwiolenia, ilość problemów, a na turystyce Urząd Gminy zarabia około 250 tysięcy złotych rocznie z tytułu opłaty klimatycznej, co wynosi o wiele mniej niż zarabia pojedynczy właściciel byle jakich kwatery. Pozornie (a może nie tylko) zasada wydaje się prosta. Aby otrzymać zysk, należy zainwestować, im większe, mądrze zainwestowane pieniądze, tym zysk jest większy. Z powyższego może wynikać wniosek, że łagowskie władze nie stają na wysokości zadania. Ale inne fakty temu przeczą. Budżet gminy wynosi 62 mln, z tego ponad 40 milionów przeznaczają się na oświetlenie, pozostałe pieniądze stanowią krowie w morzu potrzeb. Szacuje się, że gdyby jeszcze w tym roku podjąć remont murów zamkowych, kosztowałby on około 50 milionów. Władze wspomnianego już „Lubtouru” obiecywały, że po sprzedaniu ruin „Bukowego dworu”, przekażą na ten remont 20 mln, dworek sprzedano za 39 mln, a „Lubtour” wykrył się niecałymi dwoma milionami na remont zamku.

Łagowski zamek jest ewidentnym przykładem wielkiej niemożności. Od lat wiadomo, że na jego utrzymanie i renowację nie stać ani „Lubtouru” — który jest jego faktycznym gospodarzem — ani Urzędu Wojewódzkiego, na którego garnuszek egzystuje „Lubtour”, ani tym bardziej Urzędu Gminy. Ostatnio zamkiem interesował się resort górnictwa, który zamierzał obiekt wykupić, w tej sytuacji dziwną wydaje się odmowna decyzja władz wojewódzkich. Władze gminy są też bezsilne wobec siebiepaństwa właścicieli ośrodków wypoczynkowych, gdyż stosunki te regulują takie a nie inne przepisy prawne. Właściciele ośrodków stawiają na łatwiznę. Z tego też wynika niemożność łagowskiego życia letniskowego, asekuranckie gospodarowanie turystyczną bazą.

W Urzędzie Gminy chwali się jedynie Hutą Katowice, która boryka się z problemami na miarę wielkiej huty w dobie kryzysu i której dzisiaj nie stać na kontynuowanie budowy własnego ośrodka, istniejącego jedynie w stanie częściowym. Ale to huta sfinansowała budowę łagowskiego wodociągu i przedszkola. Pozostałym ośrodkom jakby brakowało chęci i wyobraźni. A nie tak trudno wyobrazić sobie Łagów z ruinami zamku, martwymi jeziorami, opuszczonym przez turystów i Pana Boga. Jest jeszcze inna możliwość — Łagów może być turystyczną mekką przez dwadzieścia miesięcy w roku, ale ktoś musi wreszcie zdecydować, że nie jest to zwykła wieś, którą obowiązuje zwykłe przepisy. Kto nie widział Łagowa w jesiennym słońcu, ten jest uboższy o to wspomnienie przeżyć, a przeżycia estetyczne znakomicie można łączyć z polowaniami na olbrzymie borowiki, kozaki, czy rydze, ale oczywiście po tych emocjach potrzebne jest coś dla ciała. Coraz więcej amatorów narciarskich zjazdów rezygnuje z tej formy wypoczynku, gdyż ciągle sięganie do portfela i przepychanie się w kolejce do wyciągu przestaje sprzyjać wypoczynkowi. Modne stają się biegi narciarskie, Łagów nadaje się do tego znakomicie, ale po relaksie na śnieżnych trasach trzeba gdzieś się rozgrzać, potać, wreszcie wydać pieniądze zaoszczędzone na Zakopanem i Szklarskiej. Nie ma pieniędzy na inne stycje? Proszę bardzo: w Łagowie brak pralni, a w związku z tym bieliznę poscielową wozą się do Zielonej Góry, koszt wyprania jednego kompletu — 100 złotych. Gdyby te pieniądze mogły wpływać do gminnej kasy...

PIOTR PIOTROWSKI

Cisza, świeże powietrze, dookolne lasy

Wszystko to znaleźć można w tej położonej między Łagowem a Toporowem wiosce. W maju toniła ona w świeżej zieleni, podkręcającej jej urodę. Wymarzone miejsce na spokojny urlop. Zachęta do tego są schludne gospodarskie obejścia, porządkny pawilon handlowy, bliskość Łagowa i Toporowa.

Centrum życia towarzyskiego w Połrze radzie stanowi Klub Rolnika, mieszczący się w niedawno zbudowanej remizie strażackiej. Gospodyni klubu Zdzisława Sowińska dba o swoje gospodarstwo, mimo ciastoty jest tu schludnie i czysto. W jednoizbowym pomieszczeniu znajduje się część handlowa, czytelnia wraz z telewizorem, którą już po południu odwiedzają dzieci, aby pod okiem gospodyni rysować. Jest też punkt biblioteczny. Odbijają się tu także dyskoteki.

Na spotkanie z dziennikarzem zjawia się skłonna do rozmów i dobrze zorientowana w realiach tego świata grupa młodzieży. Z tego co mówią, wynika, że wszyscy się uczą lub pracują poza wsią.

Chętnych do gospodarki nie ma. W całej wsi gospodarzy na swoim jeszcze tylko dwu rolników. Wiejskie grunty przechodzą na PFZ lub zagospodarowuje je miejscowy PGR. Młodzi mówią, że w ten sposób zaorano im nawet boisko sportowe. Nie upilnowali, więc trzeba chyba zaczynać od nowa? Przecieżby się też większe pomieszczenia dla klubu i biblioteki. Mają już upatrzone budynek w środku wsi, mieszka w nim jednak dwoje starszuchów. Gdyby znaleźli dla nich równie dobre miejsce... Sami problemu nie rozważają, tym bardziej, że nie ma kto reprezentować ich interesów. Miejscowość koło ZSMP istnieje tylko formalnie, wyraźnie brakuje przywódcy. Jest sporo spraw, które mogłyby zainicjować, zrobić coś dla siebie i dla wsi, brak tylko organizacji. Choć właściwie jest taka: prężna OSP, o czym świadczy zdobyte klubem puchary, uzyskane w zawodach strażackich. Węć może OSP zgodnie ze swymi najlepszymi tradycjami zechce pomóc młodzieży?

WIESŁAW NODZYŃSKI



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

Widok spod jemiółowskiej wieży

Spod telewizyjnej wieży przekątnikowej w Jemiółowie widać naturalną urodę tej ziemi, bogatą wyposażoną w gęste lasy i jeziora. Rysują się też wyraźne kontury samego Jemiółowa — wsi leżącej zaledwie kilka kilometrów od Łagowa. Mieszka tu ponad 260 ludzi. Rolników jest 42. Także — dwóch rolników rozwija na szeroka skalę hodowlę owiec. Można tedy stwierdzić, iż ta wieś jest dostawcą wielu tysięcy ton zboża, wielu tysięcy ton mięsa. — Ja w ub. roku sprzedałem do GS-u zbożo-żywnicę wartości 1.200 tys. zł — powiada rolnik Kazimierz Galas, gospodarujący na niespełna 14 hektarach ziemi. Więć ci, którzy mają tej ziemi więcej, dostarczali państwu proporcjonalnie więcej płodów rolnych. Pod względem tzw. towarowości wieś zajmuje drugie miejsce w gminie.

Alle Jemiółów ma także swoje kłopoty. Oto np. brakuje cementu na remonty starych budynków bądź budowę nowych. Drogi są nieutwardzone i na jesieni brnie się po błocie. Zdołano jedynie położyć dywanik asfaltowy wokół przystanku PKS, choć na 22 lipca przekazał się do użytku nowy przystanek, na budowę którego wydano z funduszu rozwoju wsi 150 tys. zł. Nie ma sprawnie działającej kanalizacji. Około pięciu lat temu wykonano tzw. burzówkę, lecz obecnie zamulona nie odprowadza wody z dróg. Partactwo roboty czy brak konserwacji? Ludzie mówią, że wówczas nie wykonano właściwie ujęcie odprowadzających wodę. Dlatego też autobusy PKS niechętnie tu zajeżdżają i mówią się nawet o likwidacji kursu wiec czarnego...

— Kultura na wsi jest zaniedbana — słyszę od kogoś z mieszkańców — choć gospodarz klubu robi wszystko, aby przyciągnąć młodzież. Może jednak dla niej atrakcyjniejszy jest pobliski Łagów ze swoją niechlujną knajpą „Pod basztą”?

Sołtys Bogdan Wesółowski, człowiek młody, powiedział: — Jest w tym tro-

chę prawdy, choć nie czekając na pomoc Urzędu Gminy staramy się robić wiele samymi siłami społecznymi i przy pomocy funduszu rozwoju wsi, który wynosi około 400 tys. zł rocznie. I tak np. budujemy świetlicę łączącą z remizą, 1,5 mln zł zadeklarowali mieszkańcy wsi, zagwarantowali pomoc w postaci sprzętu i własnych środków przy niektórych robotach. Na 22 lipca oddamy do użytku nowe boisko, na którym młodzież z LZS rozegra swój pierwszy mecz. Będzie to ładne boisko, przeznaczymy na jego budowę 100 tys. zł, powstaje na terenie byłego cmentarza. Całą inicjatywą kieruje z zapalem Jerzy Dunaj, kierownik Kółka Rolniczego. Przy budowie świetlicy i remizy najbardziej aktywni są: rolnik Józef Szota i pracownik Zakładu Usług Mechanizacyjnych Henryk Malak.

Jemiółów nie czeka na przysłówiową mannę z nieba. Stara się mądrze gospodarzyć wielkim funduszem. Nie tak dawno samorząd wiejski przeznaczył 150 tys. zł na remont i rozbudowę

Pytałem, dlaczego brak tu gospodarza. Dlaczego nie naprawiają muru? Nie dba o ogrodzenie? Nie zdejmą tego szylu? Wzruszyli ramionami. Ktoś powiedział, że to nie jego. Ktoś dodał, że to pegeerowskie. Ktoś dorzucił, że Urząd Gminy daleko. Naczelnik nie dba o Niedźwiedź.

Padła Gospodyni klubu podstawiała wiadra, deszczówkę wylewała na drogę. Pytałem, dlaczego nie latają dachu. Był remontowany — słyszę. — I dalej przecieka. Dopiero co skończył się remont kapitalny klubu.

Nie pytałem już o nic. Gospodyni sama powiedziała, że w Niedźwiedziu jest koło ZSMP. Młodzież organizuje dyskoteki. Gra w piłkę. Są i członkowie partii. I ZSL. I wykształceni. I zaglądają do klubu. I bywają w Świebodzinie. I w Toporowie.

A ja myślę, że w Niedźwiedziu nie ma gospodarzy. Nie ma młodzieży. Nie ma ani partii, ani ZSL. W Niedźwiedziu chyba nie już nie ma. Ale to ja tak myślę. Bo ci Niemcy z białego mercedesa musieli pomyśleć inaczej. Oni pomyśleli, że ludzie w Niedźwiedziu nie umieją być gospodarzami. Oni wrócą do walerlandu i powtórzą to swoim znajomym. I jeszcze powiedzą, że w Niedźwiedziu w gminie Łagów za kilka lat będą tylko ruiny.

ALFRED SIATECKI

Na końcu świata w Kosobudzu

W ekspedycji „Nadodrza” na rozmowy z ludźmi otrzymałem w przydziale wieś Kosobudz. Z Łagowa pojechałem do Toporowa i dalej zszedłem, zgodnie z drogowskazem. Nagle skończył się asfalt i samochód wpadł na nawierzchnię kamienistą, nierówną, pełną niespodzianek. Zgrzytało pod oponami, a na karo-serię posypał się grad ostrych kamyczków. Nie wiedziałem jeszcze, że ta droga będzie głównym tematem mojego spotkania z mieszkańcami wsi.

Na miejscu czekały na mnie cztery panie, zajmujące najważniejsze stanowiska we wsi: sołtys Helena Stećkiewicz, nauczycielka Stanisława Puk, sklepowa Helena Morawska i sekretarz POP — nazwisko niestety, gdzieś mi w notatkach zaginęło, za co przepraszam. Towarzyszyli im dwaj przedstawiciele ZSMP — bracia Andrzej i Kazimierz Kowalscy, ponadto jeden rolnik (spośród dwóch, jacy mieszkają w Kosobudzu), jeden leśnik, dwaj kolejarze i jeszcze kilku innych obywateli. Frekwencja znakomita, biorąc pod uwagę fakt, iż cały Kosobudz liczy 33 numery, wliczając w to kościół i plebanię.

Jak mówią kosobudzanie, ich wieś jest „noclegowa”. Tylko dwóch gospodarzy żyje z pracy na roli. Pozostali mieszkańcy dojeżdżają do pracy w leśnictwie, na kolei lub w toporowskim PGR. Jak mówi leśnik, młodzi uciekają z Kosobudza i zapewne nie zostaliby tu ani jeden, gdyby było łatwiej o mieszkanie w większych ośrodkach.

Jak się tutaj żyje? W odpowiedzi uzyskuje najpierw informację, że na ogół spokojnie. Niewiele obeszła ludzi wieś o katastrofie w Czernobylu, nie przejęli się ani trochę radioaktywną chmurą, ani nie wystraszyła ich plotka. Mają tu na miejscu własną katastrofę. Jest nią właśnie ta droga — między Kosobudem, a Toporowem, a właściwie między Kosobudem, a resztą świata.

W końcu ub. roku w Kosobudzu zaplanowała radość, gdy Świebodziński Rejon Eksploatacji Dróg Publicznych mający siedzibę w Torzymiu, sprowadził materiały i maszyny drogowe. Mówiło się o tym we wszystkich domach i nawet dzieci wiedziały, że koszt budowy drogi wyniesie ma 4 miliony. Radość trwała krótko, bo roboty nagle zostały przerwane i część ekipy drogowców wyślano gdzieś indziej. Zostało kilku robotników, którzy z braku dyrektora — jak opowiadają ludzie — w dni zimne grzała się przy ognisku, a w cieplejsze wystawiali twarze do słońca. Wreszcie i oni zniknęli.

Aktywniejsi zwracali się parę razy w tej sprawie do Urzędu Gminy w Łagowie. Ale jak mówi pani sołtys, naczelnik Mirosław Poppek odpowiadał im zmiennie, że on „nie ma na to władzy”. W ten sposób mały Kosobudz został sam ze swym wielkim kłopotem.

Kto zapytał: czy kosobudzanie potrafią tylko narzekać? Czy nie mogą sami wybudować tej drogi w czynie społecznym? „Moglibyśmy” — odpowiada — „gdybyśmy mieli choćby traktor albo wóz z koniem, to może udałoby się choć ziemią wyrównać wyboje!”

Tymczasem po wyborach codziennie rano kłosem do Toporowa i z powrotem autobus dowozi do szkoły kosobudzkie dzieci. Tędy też przedostawał się jakoś musza towary do sklepu, z magazynu GS w Toporowie. Tędy wreszcie dojeżdżają ludzie do pracy — motocyklem, rowerem, czym kto może, a bywa i tak — że piechotą, z rowerem na plecach.

Gospodarze?

Biały mercedes z rejestracją zachodnoniemiecką zatrzymał się pośrodku Niedźwiedzia, przy przystanku autobusowym. Wysiedli z niego młodzi, mężczyźni, podnieśli oczy na dachy, wzrokiem pytającym objęli remizę, przenieśli go na wstążkę drogi asfaltowej, wzdłuż której przycupnęły domy. Stali i kiwali głowami; w oczach, na ustach mieli pytania. Odjechali. Z podwórza na drogę wyszła jakaś kobieta, młoda starzec, dzieci. Ludzie odpowiadali mercedesowi na zakrętu. Teraz oni podnosili głowy na dachy, remizę, wpatrywali się we wstążkę asfaltową. Wzruszyli ramionami i odeszli.

Przystanęłem. Zerknąłem na remizę: ledwie trzyma się. Były wiatr powalił. Spojrzałem na kominy: rozsypują się. Na płoty: dziurawe, szczerbate, polamane. Na domy oblaże z tyńku. Nad bramą wjazdową do gospodarstwa państwowego wygięte lity: PGR PW To porów Zakład Niedźwiedź. Szylid nieaktualny od kilku lat. Park, może i za bytkowy? Zapuszczony, zdziczały. Mur obok niego rozsypujący się. Cegły w kruszce. Na końcu wsi bloki pegeerowskie. Niby nowe, ogrodzone siatką, całe w zieleni. Przed nimi młodzi mężczyźni: śmiejący się, pokazujący na bramę wartą na oścież. Odpoczywają przed zniwami?

Proste pytania

czasem gdy w pole wiosną wychodzę patrzę na kwitnącą tarninę strojącą pannę młodą na malowane pejzaże proste portrety

slucham śpiewu ptaków odwiecznego wiejskiego kabaretu i jak na moją wielką radość na kwiat pszenicy i żyta osiadają codziennie rano kropelki rosy barwa srebrzysta

Autorka tego wiersza mieszka w Jemiołowie, od kilku lat zajmuje się poezją, wiele czasu poświęca na społeczną działalność w Kole Gospodyń Wiejskich.

Ech, było kiedyś w Kosobudzu światowe życie! Pani sołtyś na samo wspomnienie dostaje rumieńców. W świetlicy grała orkiestra wojskowa sprowadzona z Krosna Odrzańskiego a ludzie tańczyli. Były bale, jak na filmie. Dziś świetlica stoi opuszczona, a dziurawym dachem, którego nie można zataić, bo nie ma papy.

Kosobudz uważa za wieś turystyczną, ma piękne lasy i czyste, rybne jezioro. Przez parę lat przyjeżdżał tu na wakacje pod namiotem Teatr z Zielonej Góry. Wtedy wspomina aktorów z sentymentem. Łato z nimi było wesoło, coś się działo. Teraz dyrekcja Lasów zakazała rozbijania namiotów, a władze gminy wyznaczyły działki lesne pod budowę domków letniskowych. I wyrosło pięć szkaradnych bud, nie widać domów czystych. Mieszkańcy Kosobudza patrzyli na nie z niechęcią. Ale nikt ich o zdanie nie pyta.

Nie lubią też sportowców z pobliskiego, międzyszkolnego ośrodka. Ich zdaniem, przebywając tu młodzież ma nie dostateczną opiekę, a rygoru prawie żadnego. „Depczą ogrody, palą papierosy pod stołami, a mnie zrobili awanturę, że sprzedaję stare ciastka. Sprzedaję takie ciastka, jakie mi doważa” — mówi sklepowa.

Poza tym to co wszędzie. Dzięki ryjowi pola, PZO małe ośrodkowanie, w sklepie brakuje kielbas, a w magazynie GS w Toporowie węgla, desek, nawozów i różnych artykułów potrzebnych na wsi. Magazynierka pracuje na pół etatu i w piątek przyjmuje towar, w sobotę i niedzielę odpoczywa, w poniedziałek ma skup makulatury, a we wtorek mówi, że towaru już nie ma. Wszystko to jednak jest mało ważne, w porównaniu z drogą. Całe zebrane gro no patrzyło na mnie z nadzieją, że może to ja zamienię wyboje w drogę gładką jak stół, po której zechce jeździć na wet autobus PKS i zatrzymywać się na dawno już wybudowanym przystanku w Kosobudzu. „To nasza droga do świata i życia” — powiedzieli mi na pożegnanie.

Wracałem o zmierzchu, a wjeżdżając w ciemny las, oczekiwałem, że diabeł powie mi „dobranoc”. Ale diabeł milczał, co mimo wszystko jest trochę pocieszające...

MARIAN SKARBK

Cukierki lizane przez szybę

Artysta pierwszej gildii — malarstwa, muzyki, literatury a później i kina, na trwałe wpisali swoimi dokonaniami nazwę Łagowa w krajoznawstwo polskiej kultury. Z łagowskich dzieł malarstwa, można by, zadając sobie nieco organizatorskiego trudu, zrobić znakomitą wystawę, z utworów kompozytorów świetny koncert wykonywany przez światowej rangi wirtuozów.

Łagów wpisany w krajoznawstwo kultury narodowej, opróżniony blaskiem wielkich nazwisk, jako punkt na mapie Polski zachodniej miał, ale już chyba nie ma, niepostrzeżenie, raz daną przez historię, szansę stania się drugim, może pierwszym? Kazimierzem nad Wisłą, letnią stolicą kultury. Było to wtedy, gdy centralizm jeszcze młody, pierzający się, odkrywał jego możliwości. Szansa się zgubiła, gdy decentralizacja zachwyła sobą, popełniła pierwsze eksperymentalne błędy, wynikające z przeświadczenia, że pieniądze, również wymienialne, leżą na ulicy. Wierzenie wielkiej formy, bez groźna na inwestycje w turystykę, obudowanie jezior domkami o standardzie bud dla wiejskich kundlek, jest ekonomią od pana Zagłoby, z której uśmiech się może bezkonna wdowa, nie tylko matorolny kmiotek.

Pięć budyń nie przyniosło wielkiej formy — szwedzkiej, duńskiej, niemieckiej. A do Berlina stąd dwie godziny jazdy samo chodem. Z rąk kreatorów czasem w poszarpanych dżinsach ale z dobrze umebliowaną głową, Łagów przeszedł w ręce obszarpańców również intelektualnych, zapinających rozporoki agrafkami, spędzających wolny czas na upijaniu się boskim nektarem witnickiego browaru. Zabłocki wyszedł lepiej na mydle, ani-

żeli Łagów na turystykę takiej, jaką się tam widzi siermiężnej, prostackiej, destrukcyjnej wobec unikalnego pejzażu a demoralizującej tużemców przez dziejące się miesiące umęczonych czekaniem na dwa miesiące skandali, tłoku, smrodu, śmiecia, strefy bezobjętej i bezkropkowej.

Sytuacja polega na tym, że konsekwencje dawnego centralizmu, jak i skutki decentralizmu po 1956 roku, dla Łagowa były identyczne. Wszystko działo się obok Łagowa, jego struktur społecznych, politycznych, bez pytania o zdanie miejscowej opinii. To był a pewnie i jest rodzaj kolonializmu, gwałtującego ideę samorządności. Na idei tej już rosła trująca grzyba. Rada narodowa jest gospodarzem terenu. Co to za gospodarz, który nie może podejmować decyzji? Nie może nakazywać zarządowi Gminnej Spółdzielni, uspołecznionym właścicielom ośrodków wypoczynkowych, firmie turystycznej na skraju bankructwa?

Łagowianie są ostatnimi, którzy dowiadują się, że właśnie u nich odbędzie się plener o charakterze międzynarodowym, festiwal, przegląd, interesujący wykład na wieczorku. Z tego tytułu mają tylko kłopoty, choćby związane z zaopatrzeniem w mięso, nabiał. Dziełatki polskich artystów malowało Łagów. Jednak żaden Łagowianin nie miał okazji oglądania tych obrazów. Po prostu w Łagowie nie ma ani jednej sali nadającej się na organizację wystawy. Gdyby wybitna polska pianistka, której nazwisko znane jest w Tokio i Paryżu, przypomniałaby sobie początek swojej kariery związanej z pobytem tutaj na zamku, zgodziła się na koncert, musiałaby na plecach przystąpić pianino, którego nie ma gdzie ustawić. Przez miesiąc Łagów jest usią, nawet zaga — mistrzem gospodarności, a przez dwa miesiące ma być czymś całkiem innym. Takie tętno każdy lekarz określił jako stan zawalowy. Na świecie turystyka jest wielkim interesem, prze myślę, w Łagowie turystyka jest amatorkim chałupnictwem powodującym straty.

Zaplatano się to wszystko w petli nie możliwości, usprawiedliwianej oczekiwaniami na świętego Mikołaja z książeczką czekową. Otóż Mikołajowie są dziś dziadkami Mrozami. Osobiście jednego takiego świętego Mikołaja znam. Ma on gabinet na ulicy Westerplatte, w nowo czesnym budynku z neonem reklamującym czystość i „Trybuna Ludu”. Otóż mój znajomy powinien wystrzelić resztkę pieniędzy w kasie, wystąpić na delegację do Łagowa artystę, specjalistę od aranżacji wnętrz, niech rzuci okiem na to, co dzieje się w klubie „Ruch”. Niech się zastanowi, co z tego można zrobić tak, aby nie było wstydu.

RYSZARD ROWIŃSKI

Nowe twarze w Toporowie

Kropi deszcz, więc na otwarcie klubu czekam pod umieszczonym nad drzwiami małym daszkiem. Punktualnie o 18.00 jawia się kierowniczka Janina Rządowska. Wchodzi i patrzę zaskoczona: wszędzie obrazy, rysunki, ręcznie wykonane ozdoby. Napis „polecamy kawę” gustownie wkomponowany w jabłuszko. Niewielkie wnętrza bardzo zadbane, starannie urządzony każdy kącik. U wejścia dwa obrazy, ręcznie malowane plakaty, przedstawiające podobizny różnych sławnych ludzi żyjących, bądź postaci z filmu lub literatury. „Co tydzień — nowa twarz”!

Wszystko to jest dziełem kierowniczki klubu. Pani Janina po ukończeniu za wodówki myślała o technikum plastycznym w Poznaniu. Ale zamiary nie udało się. Wyszła za mąż — i po. marzeniach. Pracowała najpierw w kiosku, od sześciu lat prowadzi ten klub. Mąż jest kierowcą w PGR. Córka kończy szkołę podstawową i wybiera się do szkoły plastycznej. Jest uzdolniona, jak mama.

Na zewnątrz nie ma żadnej informacji o spotkaniu z dziennikarzem, choć w GS w Łagowie obiecywano rozesłać

afisze. Być może więc moja wizyta w Toporowie ograniczy się tylko do rozmowy z kierowniczką klubu?

Swoje zamiłowania plastyczne Janina Rządowska przekazuje dzieciom przychodzącym do klubu. Organizuje konkursy rysunkowe, uczy wyplatać piękne przedmioty ze sznurka, rozmawia z dziećmi o sztuce. Z okazji Dnia Matki dzieci rysowały swoje mamy, potem rysunki zostały wystawione — i mamusie rozpoznawały się na portretach, co było zabawne i kształcące.

Dzieje Klubu, wszystkie wydarzenia i imprezy p. Janina zapisuje w kronice, własnoręcznie ilustrując. Są więc zapisy o Dniu Kobiet, Matki i Dziecka, z dokarmiania zwierzęcy leśnej, z prelekcji, jest opis urządzonych wspólnie ze szkołą karnawałowego balu masek, jest ślad po wieczorze prima-aprilsowym, konkursie na najładniejszą pisanek i zeszłorocznych andrzejkowych wroźbach. Opisany jest „trzydniowy biwak ZSMP w Zagajach, Rajd Przyjaźni w Lubrzy, mecz siatkówki w Łagowie oraz turniej tenisa stołowego rozegranym na kortach szkolnym o mistrzostwo Toporowa. Zdobyte puchary stoją w oszklonej gablotce w klubie.

Klub jest zarazem sklepikiem i wypożyczalnią książek. Ogląda się to telewizję i czyta prasę, która przedstawia się, niestety, dość ubogo: „Przekrój”, „Nowa Wsie”, „Filipinka”, „Razem”, „Magazyn Rodzinny” — wszystko po jednym egzemplarzu oraz „Robotnik-Spółdzielca”, z którego wycięty i zawieszony na ścianie tygodniowy horoskop cieszy się dużym zainteresowaniem. Nie ma ani jednego dziennika, w tym także „Gazety Lubuskiej”. Nie ma też „Nadodrza”.

Powoli jednak w klubie robi się tłok. Wszystkie krzesła zajęte. Mam przed sobą przedstawicieli młodej generacji Toporowa. Wszyscy dojeżdżają do szkół zawodowych w Świebodzinie i Zbąszynku. Popołudnia i wieczory spędzają na wsi. Co robią? Spacerują, wpadają do klubu, bo nie ma więcej gdzie iść.

Marek Rządowski uczy się zawodu ślusarza-mechanika. Interesuje się muzyką rockową, podobnie jak Krzysiek Jabłoński, który w przyszłości chce być kolejarzem, najlepiej dyżurnym ruchu. Marek, Krzysiek, także ich koleżdy Giegorz Kopeć i Darek Malusiak oraz rozstali się zdania, że telewizja jest „nudna i smutna, bo prosta — nie ma co oglądać”. Lubił im się jedynie włoski serial „Osmiornica”.

Na przypomnienie „Niewolnicy Isaury” wybuchają śmiechem. Jej imieniem nazwano w Toporowie babcię, która handluje wodką, o czym wie cała wieś. Któryś z chłopców przypomina sobie jeszcze coś ciekawego w TV, mianowicie „serię zatytułowaną Między wrzeszczem a majem”. — Interesujesz się historią — pytam. — Tak, ale nie lubię żadnych szkolnych lektur — pada odpowiedź.

Niedawno reaktywowane koło ZSMP liczy 11 osób, z przewodniczącym Waldkiem Miśkiewiczem. To jego brat Stefan zmagistrował migające światła, dzięki czemu klub zamienia się niekiedy w dyskotekę, przy muzyce ze starego magnetofonu. Aby coś rocić, młodzież urządza sobie własną piwniczkę w pustej pralni w jednym z bloków. Przychodzą tam tylko żeby pogadać, bo muzyka głośna, taka jaką lubią, przeszkadza do roslim.

Gdyby mogli, to co zrobiliby dla swojej wsi? Po chwili odpowiadają, że zrobiliby przede wszystkim coś dla młodzieży, najlepiej dom kultury, ze sceną, wiodnią, sprzętem nagłaśniającym. Dalej dobrze byłoby wznowić działalność LZS, przyspieszyć prace w budynku, gdzie ma być w przyszłości klub, a mo że i kino, oraz zrobić salę wystawową, aby utalentowani ludzie z Toporowa i okolicy, zarówno młodzi jak i starsi, mieli gdzie pokazywać swe prace. Do takich ludzi, poza Janiną Rządowską, należą Józef Bałatko, który robi piękne rzeczy z korzeni oraz mieszkanka Kosobudza pani Pukowa, która rzeźbi w glinie.

O czym rozmawiają w swojej piwniczkę? O muzyce, dziewczynach. O szkole też? Nie, raczej nie. Wier o czym jeszcze? O ciuchach. Czy ważne jest, jak się człowiek ubiera? Tak, ich zdaniem jest to bardzo ważne, jak się kto ubiera, cześć. Jak się zachowuje też? Oczywiście. Czy mają jakieś pragnienia? Nie, raczej nie. Z czym kojarzą się im wojna? Z okrucieństwem, zabijaniem, nie lubią słuchać i czytać o wojnie, nie lubią też filmów na ten temat. A „Cztery pancerni i pies”? Owszem, widzieli. Co wiedzą o swojej wsi?

Ze jest duża, stara, ma parę legend. Jakie są te legendy — nie wiedzą. Jest w Toporowie PGR, stacja PKP, ośmioklasowa szkoła, przedszkole, ośrodek zdrowia, poczta, przystanek PKS. Była filia wyższej uczelni, ale już nie istnieje. Był fryzjer, ale już go nie ma. Było kiedyś kino objazdowe, ale je zlikwidowano. Nie ma knajpy. Jest Straż Pożarna — bardzo aktywna, posiadająca piękną remizę, a w niej właśnie mieści się ten klub.

Po stronie aktywów należy też umieścić popularny i ponoć wysoko notowany Klub Motorowy — sławę i chwałę Toporowa. Co ciekawe: klub ten nosi nazwę „Nadodrza”. I ta informacja była sympatycznym akcentem końcowym mojego spotkania w Toporowie.

HALINA ANSKA

ZOBACZYĆ ŁAGÓW I OŻYĆ

ciąg dalszy ze str. 1

czej odpychającego w stosunku do synka, którego niegodna mamusia rzekomo uwielbia. „Przeznaczenie” jest ciekawe ze względu na życiorys Tetmajera i świetną grę Mariusza Benoit. Ambitny „Chrześnik” Bielskiego jest tylko filmem średnim, chociaż godnym szacunku. Opiera się na kreacji Dmochowskiego i przedłużony jest niemiłosiernie. „Cień już niedaleko” — zbudowany jest na „siurpryzach” Kondratiuka, jego rodziny. Niestety, na nikim i niczym się nie opiera. „Dziewczęta z Nowolipiek” totalnie nieudany film tak zresztą dotąd reżyserki jak Barbara Sass. Nieudany jest również drugi film Saniewskiego „Sezon na bażanty”. Pozostają „Wakacje w Amsterdamie”, których jeszcze nie widziałem.

Niestety, z filmem wojennym nie jest wcale lepiej. Ostał się „Sam pośród swoich” Wojcika, głównie ze względu na kreację Jana Jankowskiego (nagrodzoną w Gdańsku) i całkiem niezły czesko-polski film Moskalka „Kukulkan w ciemnym lesie”. Ten ostatni znów głównie ze względu na popisowe i wstrząsające kreacje Oleś Tabakowa i niesamowitej Alicji Jachiewicz.

Cóż zrobić z takimi filmami jak „Okrucy wojny”, „Pobojowisko”, „Romans z intruzem”, w którym anitrygi, ani powodu ich realizacji zrozumieć nie sposób. Pomnie Gołaczewskiego „Dziwni ków śmierci”, bo o tym filmie trzeba po prostu zapomnieć jak najprędzej.



Scena z filmu „Och Karol!”

Jeśli chodzi o filmy dziecięce, to bardzo wysoko cenilem „Akademię pana Kleksa”, dziwiąc się, że dotychczasowy dokumentalista Gradowski, stworzył baśń przepiękną, pełną fantazji, ślicznych dekoracji, uroczych barw, najładniejszych dzieci i pysznej zabawy. Cóż stało się jednak z tym reżyserem w „Podróżach pana Kleksa”? Występują prawie wyłącznie dorośli, niektóre piosenki są wyraźnie „dla rodziców” film, zamiast trwać półtorej godziny, na co maksymalnie pozwalał wątlutki scenariusz, trwa trzy i ciągnie się jak gumo do żucia. Widziałem na premierze w Sali Kongresowej bardzo licznie wychodzące znużone dzieci. Z innych obrazów „Porwanie” jest pozbawione tematu. „Tato nie bój się dentysty” powinno być zaopatrzone w podtytuł: „ale bój się tego filmu”, zaś „Kasztanów” Fiwka jeszcze nie widziałem.

Wśród filmów muzycznych tylko o „Yesterday” warto pisać i to nie dlatego, że został uhonorowany w Wenecji i San Sebastian, ale dlatego że ma „głowę i nogi” i jest chyba jedynym filmem sezonu 1985-86 prawidłowo zbudowanym dramaturgicznie. Niestety, nieostrożne wprowadzenie na taśmę oryginalnej muzyki zagranicznej zepchnęło film na półkę. Do gruntownej przeróbki. Szkoda, winien był zaraz po San Sebastian triumfalnie wrócić na ekrany. O „Koncercie” nie warto wspominać w ogóle, a o „Miłości z listy przebojów” tylko z okrzykiem: co się stało z Markiem Nowickim! Nie sposób uwierzyć, aby myślał, że zrealizował chociażby średni film.

Trzy filmy „niesamowite”, bo nie „filmy grozy”, mają przynajmniej tę dodatkową cechę, że każdy jest z „inne bezczki”. „Zabicie ciotki” Królikiewicza to nowe curiozum polskiej kinematografii. Tym razem od błędów można polapać się w fabule i uznać za udany wybór Herubina do głównej roli.

Opisywane już przeze mnie „Medium” jest filmem chwilami bardzo ciekawym.

mieszącym grozę z hipnozą, granym popisowo. Jeśli w tym miała być jakaś głębia, poprzez osadzenie sytuacji w „wolnym mieście” Gdańsku to to nie wyszło. Najbardziej „niesamowitą” i złym filmem jaki w życiu widziałem, jest „Lubię nietoperze” debiutanta Grzegorza Warchola. Przecież ktoś musiał zatwierdzić „scenariusz”, i zaangażować aktorów, którzy, z wyjątkiem prześlicznej Katarzyny Walter, grają ośmieszając się. Film jest nadto pozbawiony reżyserii i daje świadectwo najbardziej nieumiejętnego montażu, jaki sobie można wyobrazić.

Niewiele lepiej poszło nam z minimalną w tym roku ilością komedii. Przyzwyczajony „Och Karol!” reklamowany jako „komedia erotyczna” przynajmniej zwrócił swe koszty, pokazał kilka bardzo pięknych kobiet oraz Trzeciaka w roli totalnego idioty.

Ten sam Trzeciak, jakby naprawdę uwierzył, że jest tą osobą, którą zagrał w filmie „Och Karol!” i zrobił samemu sobie oraz swej rodzinie największą z możliwych „niedźwiedziej przysług”, kreację „Diabelskie nie-Szczęście”, gdzie prawie pokazał siebie w roli Piechocińskiego - Karola - Donzuana. Myślałem, że film przynajmniej będzie miał oszalańcujące powodzenie, ale i to sprawdziło się zaledwie połowicznie. Milczenie należałoby pominąć ordynarny film „Sprawa się rypia”, gdyby nie dwie sprawy: jakim sposobem upaść mógł tak nisko reżyser, który dobrze debiutował i ma za sobą świetny film oraz w jaki sposób też jeden z naszych czołowych aktorów, Franciszek Pieczka, mógł pojawić się w czymś takim?

Dwa filmy, rzekomo kryminalne, były na średnim poziomie. Osobiście więcej mi się podobali „Przemycnicy” Włodzimierza Olszewskiego. Było w nich trochę ruchu i fantazji. Mniej podobał się „Mokry szmal”, którego scenariusz był niezrównoważony, a twórca nie wiedział, czy demaskuje, czy straszy nas, czy też tworzy rodzaj komedii? Bezsztyletość przycięła film.

Przejdźmy teraz do naszych outsiderów: „Ognisty anioł”, niby kostiumowy film tak sympatycznego Wojtyłki, stanowi całkowitą zagadkę. Film jest wyprany z czegokolwiek, co mogłoby zająć uwagę widza, mimo że ma anioła, rycerzy, tortury, zdejcia, galopady i Bóg wie, co jeszcze. Jednej rzeczy mu brak: sensu. Nie będę omawiał rysunkowych „Straszydeł” Romana Huszczy, gdyż jest to słaby „skrót” telewizyjny. Wionczek jak zawsze zrobił dobrą i pożyteczną robotę jedynym w tym roku pełnometrażowym filmem dokumentalnym „Na wszystkich niedostępnych drogach” o żołnierzu polskim.

Uważam, że wielu naszych realizatorów to wybitnie uzdolnieni artyści i nie jest katastrofą, że zrobili „aturat” zle filmów. Znam nie do oglądania obrazy Antonioniego, Bergmana, Bunuela, Forda (Jol a), Hitchcocka, Wellesa, Zinnermana i wielu innych. Najczęściej wychodzą oni ze złej passy, a w blasku nowych filmów o potknięciach szybko zapomniano. Czego też najserdeczniej życzyć polskim twórcom. Także dźwięnienia się tym, którym się debiut nie powiódł. Tylko o jedno proszę: jeśli drugi film także się nie uda, trzeba wyciągnąć właściwe wnioski.

LEON BUKOWIECKI

22 czerwca 1941

O świcie tego najdłuższego dnia letniego, przed 45 laty, III Rzesza napadła na Kraj Rad. Rozpoczęła się Wielka Wojna Ojczyźniana narodu radzieckiego. Byłem wtedy w ZSRR i najbardziej z tych dni utkwiły mi w pamięci: przejmujący, dramatyczny plakat „Ojczyzna — Matka wzywa” oraz słynna pieśń — „Święta wojna”, której pierwsze słowa brzmiały: „Powstań kraju ogromny, powstań do śmiertelnego boju!” Do obrony stanął cały naród.

A przeciwnik był rzeczywiście nie tylko bezwzględny, ale i niesłychanie groźny. Stał za nim potencjał przemysłowy a w dużym stopniu również ludzki całej niemal Europy. Bowiem najazd Niemiec hitlerowskich na Związek Radziecki nastąpił w 22 miesiącu II wojny światowej, która wówczas miała jeszcze w zasadzie wymiar europejski. Później objęła ona już 61 państw na wszystkich kontynentach. Brało w niej udział 1,7 miliarda ludzi czyli 80 proc. ówczesnej ludności świata. Wojna pochłonięła ponad 50 milionów istnień ludzkich, przeszło 100 milionów trwałych okaleczeń a zniszczenia, jakie przyniosła, były przerażające.

Wybuch II wojny światowej poprzedziła cała seria „pokojowych” podbojów hitlerowskich Niemiec, w wyniku których pod ich panowaniem znalazły się: Austria, Czechosłowacja i litewska Kłajpeda. Podboje te nie napotkały na żaden poważny sprzeciw ze strony mocarstw zachodnich, tj. Francji i W. Brytanii. Rozbór Czechosłowacji miał wręcz jawne błogosławieństwo tych państw. Wymusiły one nawet na jej rządzie, by nie stawiał zbrojnego oporu.

Według scenariusza opracowanego w Paryżu a przede wszystkim w Londynie, Hitler miał w pierwszym rzędzie wyruszyć na Wschód „aby zniszczyć bolszewizm”. Fuehrer III Rzeszy zmienił jednak kolejność swych planów zmieniając do podboju (współ z Japonią) — Włochy się niemal nie liczyły) całego świata. Warto przy tej okazji podkreślić, że cykl „pokojowych” podbojów brunatnego Reichu zalał się na zdecydowanym „nie” ze strony Polski, na bohaterskiej walce przeciwko najcięższym tylko wojskom leżącego nad Niemcami. Nikt w Polsce nie miał najmniejszej wątpliwości, że nie chodzi bynajmniej o Gdańsk czy o „eksterytorialny korytarz” lecz o samo istnienie niepodległej ojczyzny. Polska zapisała pierwszy rozdział tej wojny w rozpaczliwym osamotnieniu. Francja i Anglia nie udzieliły nam żadnej dosłownie pomocy a i same nie zaatakowały Hitlera na Zachodzie.

Fronty ruszyły gwałtownie dopiero wiosną 1940 roku. 9 kwietnia 1940 r. armie hitlerowskie dokonały inwazji na Danię i Norwegię. Bohaterski opór Norwegów trwał 2 miesiące a pod Narwikiem szczególnym męstwem odznaczyła się Brygada Strzelców Podhalańskich. 10 maja 1940 roku nastąpiła zmasowana inwazja niemiecka na Belgię, Holandię, Luksemburg i Francję. Warto dodać, że armie tych krajów dysponowały 135 dywizjami, 3.300 czołgami i 2.700 samolotami — nie licząc brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego. Opór w Holandii trwał 5 dni a w Belgii (gdzie walczyli już masowo wojska francuskie) 18 dni. 14 czerwca Niemcy wkroczyli do Paryża a 23 tegoż miesiąca Francja kapitulowała. Wielka Brytania po klęsce pod Dunkierką z trudem zbiera siły.

Niemcy są już więc panami całej Europy Zachodniej. Na Wschodzie łączą się z nimi sojuszem faszystowskie rządy Węgier, Finlandii, Rumunii, Bułgarii i Słowacji. 6 kwietnia 1941 następuje inwazja niemiecko-włoska na Jugosławię i Grecję. Jugosławia kapituluje już 17 kwietnia a Grecja pod koniec tegoż miesiąca.

Tak wyglądała Europa w przededniu napadu na Związek Radziecki. Do uderzenia na ten kraj III Rzesza zaangażowała ponad 5 milionów żołnierzy, około 50 tys. dział i moździerzy, prawie 4 tysiące czołgów, przeszło 4 tysiące samolotów. Trzy grupy armii Wehrmachtu uderzając w kierunku na Leningrad, Moskwę i Kijów, miały w ciągu 6-8 tygodni zakończyć całą kampanię. Jednak na froncie wschodnim, w walce z Armią Czerwoną „Blitzkrieg” się nie sprawdził. cofając się na 3-tysięcznokilometrowej linii frontu jednostki radzieckie zadawały wrogowi dotkliwe straty, utrzymując swe pozycje do granic możliwości, np. Odesę — 70 dni, Sewastopol — ponad 8 miesięcy. Równocześnie pod bombami i ogniem artyleryjskim zdołał on ewakuować ze strefy przyczółkowej około 1500 zakładów przemysłowych i inne mienie. Na tyłach wroga rozwijała się na wielką skalę dobrze zorganizowana i niezwykle skuteczna w działaniu akcja partyzancka.

Droga Wehrmachtu pod Moskwę, która miała trwać jedynie kilka tygodni, trwała w rzeczywistości prawie pół roku. Tu też napotkał on na pierwszą poważną kontrofensywę radziecką. „W tym właśnie momencie — pisze wybitny historyk brytyjski Allan Bullock — ku ogromnemu zdziwieniu Hitlera i niemieckiego naczelnego dowódcy, Ro-

szanie 6 grudnia przeszli do wielkiej ofensywy na całym środkowym froncie, rzucili do walki sto świeżych dywizji i zlikwidowali groźną sytuację pod Moskwą. Niemieckie wojska będąc już u kresu wytrzymałości — zachwiały się”. W bitwie, która trwała od grudnia 1941 r. do kwietnia 1942 r. Armia Radziecka odparła agresora na 150 do 300 km od Moskwy. Stracił on w tej walce około 300 tys. żołnierzy i oficerów, 1300 czołgów, 2500 dział i ponad 15 tys. pojazdów. Mit „Blitzkriegu” został ostatecznie rozwiany.

Przełom w wojnie nastąpił pod Stalingradem. W zaciętych bitwach trwających od lipca 1942 r. do początku lutego 1943 r. Wehrmacht utracił 1/4 swego składu znajdującego się na froncie wschodnim — 1,5 mln żołnierzy. W ramach tej gigantycznej batalii nastąpiło okrażenie liczącego 330 tys. żołnierzy ugrupowania feldmarszałka Paulusa. Poległo z nich 150 tys. a reszta poszła do niewoli wraz ze swym feldmarszałkiem i 25 generałami. Jest to bitwa, która przeszła do legendy i historii.

Po klęsce pod Stalingradem armia niemiecka nie była już w stanie podźwignąć się i odzyskać swej mocy uderzeniowej. W lipcu i sierpniu 1943 roku spadł na nią następny potężny cios. W wielkiej bitwie pancerniej pod Kurskiem straciła ona 120 tys. żołnierzy, 4.600 czołgów, 2500 samolotów, 1600 dział, 11 tys. pojazdów wojskowych. W ogóle rok 1943 stał się rokiem decydującego przełomu. W styczniu tego roku przetrwana została blokada Leningradu. W marcu wyparto Wehrmacht z północnego Kaukazu, we wrześniu i październiku wyzwolone zostały Zagłębie Donieckie i lewobrzeżna Ukraina, w październiku znaczna część Białorusi, w listopadzie Armia Czerwona dotarła do Krymu.

W nieustającej ofensywie 1944 r. wojska radzieckie wyzwoliły wschodnie terytoria Polski i znalazły się na przedpolach Warszawy, wkroczyły na terytorium Jugosławii, docierając do Belgradu, podeszły do granic Czechosłowacji, zmusiły do kapitulacji satelitów III Rzeszy — Finlandię, Rumunię, Bułgarię i Węgry. Kraje te w wyniku wewnętrznych przemian wypowiedziały wojnę Niemcom. W ten sposób nastąpił kres hitlerowskiej koalicji.

Po ofensywach trwających od stycznia do kwietnia 1945 r. oddziały Armii Czerwonej znalazły się już w Austrii i stanęły nad Odrą. Czyż trzeba przypominać decydujący wkład Armii Radzieckiej w dzieło przwrócenia Polsce jej piastowskiego dziedzictwa? Wyzwolenie naszego kraju okupione zostało bohaterską śmiercią 600 tysięcy żołnierzy tej armii. U jej boku na całym szlaku bojowym od Lenino aż po stolicę III Rzeszy kroczyło ludowe Wojsko Polskie. W końcowym etapie wojny liczyło ono już 400 tys. żołnierzy i wniosło swój znaczący wkład do dzieła zwycięstwa.

W kwietniu ruszyła ostatnia ofensywa — na Berlin. 2 maja podał się garnizon berliński a 9 maja 1945 przedstawiciele III Rzeszy podpisali jej bezwarunkową kapitulację. Wojna w Europie została zakończona. Decydującą rolę w pokonaniu faszystów odegrał Kraj Rad. Zapłacił za to życiem 20 milionów swych synów i córek.

22 czerwca 1941 roku faszystowski Niemiec ki podjął próbę rozstrzygnięcia sporu systemów społecznych. Z próby tej zwycięsko wyszedł ustrój socjalistyczny. Burżuazyjni politycy Zachodu przekonali się, że bez udziału Związku Radzieckiego w tej wojnie, hitlerizm chwyciłby również ich za gardło. Tak narodziła się koalicja antyhitlerowska, której przywódcami stali się nawet tak zajadli antykomuniści, jak Winston Churchill. Zrozumiał on i przestrzegał w swym słynnym wystąpieniu z 22 czerwca 1941 r. przed jakimkolwiek uczuciem zadowolenia i ulgi, że faszystom niemieckim skierował swe uderzenie na Wschód.

Ci politycy zachodni, którzy byli gotowi złożyć w ofierze cierpienie i życie ludzi radzieckich, ściągali nieszczyście na samych siebie, na swoich rodaków.

Jeśli mowa już o politykach zachodnich, to chciałbym tu zacytować znamienne słowa jednego z nich. Otóż 25 kwietnia 1945 roku w dniu spotkania nad Łabą wojsk radzieckich i amerykańskich, ówczesny prezydent USA Harry Truman (ten sam, który w parę miesięcy później sygnując tylko samymi inicjałami H.T. wydał rozkaz zrzucenia bomby na Hiroszimę!) — powiedział: „Wojna nowoczesna z jej rosnącym okrucieństwem i strasliwymi zniszczeniami, jeśli się jej nie przeciwstawimy, zniszczy w końcu całą naszą cywilizację”. Słowa te brzmią szczególnie aktualnie właśnie w naszej epoce. Byłoby pożądane, aby wzięli je pod uwagę obecni sternicy polityki amerykańskiej. Przeciwno wojnie trzeba bowiem walczyć skutecznie — zanim się ona rozpocznie.

MICHAŁ HOROWICZ

Rozmowa z JADWIGĄ NOWAKOWSKĄ — kierowniczką ośrodka „Nowoczesna Gospodyni” w Czerwińsku.

— Swoje dzieciństwo, młodość i życie dojrzałe związała pani z Czerwińskiem, niewielką miejscowością leżącą zaledwie kilkanaście kilometrów od Zielonej Góry. Obecnie — poza kierowaniem pracą geosowskiego ośrodka „Nowoczesna Gospodyni” — zajmuje się pani szeroko działalnością społeczną, pełnia m.in. funkcję II sekretarza POP przy Gminnej Spółdzielni. Jak to się stało, że właśnie Czerwińsk stał się miejscem pani życia i aktywnej działalności?

— Rodzice przeprowadzili się do Czerwińska, gdy miałam bodajże pięć lat. Ojciec pracował w PZZ-ach w Zielonej Górze, później był kierownikiem młyna, następnie I sekretarzem Komitetu Miasta i Gminy PZPR, obecnie jest kierownikiem zakładu CPN w Czerwińsku. Tak więc mieszkam tutaj ponad 30 lat.

— O miasteczku mówi się, że jest to jakby sypialnia ludzi, w większości pracujących w Zielonej Górze. Ile jest w tym prawdy?

— Jest to raczej legenda, bowiem Czerwińsk to nie tylko duży węzeł PKP i Gminna Spółdzielnia ze swoimi zakładami produkcyjnymi i placówkami handlowymi, ale także administracja terenowa, zakład surowców wtórnych, i PGR z ładnym klubem rolnika. Poza

Znamy się od pokoleń. Tym bardziej, że tutaj mieszkają i rodzice, i teściowa, i całe rodzeństwo moje oraz męża.

— Czy pobyt w takim miasteczku nie grozi nudą codziennej, jakby nieco sennej egzystencji?

— Ja nie mam czasu się nudzić, ja po prostu nie potrafię się nudzić. Przecież mamy tak blisko do kin czy teatru w Zielonej Górze, a komunikacja PKM jest niezła. Przecież są książki, a ja zawsze bardzo dużo czytałam i czytam nadal, wręcz nałogowo. A szczegółów nie dziś mam wiele lektur młodzieżowych, które czytamy wraz z córką, o których dyskutujemy. A przecież tyle tych obowiązków zawodowych, tyle — domowych! Więc na nudę nie ma u mnie miejsca.

— Ale moim zdaniem miasteczko jest jednak jakby ospałe. Pani energia i społeczna aktywność stanowi przykład osobno.

— Zawsze jest tak, że muszą być ludzie, którzy pobudzają innych. Zawsze jest kilku, którzy coś tam robią dla wielu... I ja chyba taka jestem, nie potrafię być bierna... A to, co robię zawsze, albo prawie zawsze spotyka się ze społecznym odbiorem. Na przykład organizowane przez ośrodek różnego rodzaju kursy. Dopiero niedawno w Urzę-

MIASTECZKA NIE MUSZĄ BYĆ NUDNE

tym Dorn Kultury. Tak więc sądzę, że to raczej do nas do pracy przyjeżdżają mieszkańcy Zielonej Góry.

— Może jednak powróćmy do pani biografii. Szkoła podstawowa w Czerwińsku...

— ...następnie Liceum Pedagogiczne w Zielonej Górze i praca — przez dwa lata w Gubinie, w szkole specjalnej — a potem już nieustanną pracą w Gminnej Spółdzielni w Czerwińsku. Po kolei: jako behawiorysta, kadrowa przez wiele lat, potem cztery lata przerwy na urlop wychowawczy, no i obecnie, drugi rok na stanowisku kierowniczkim ośrodka. W Gubinie było mi za trudno, gdyż liceum nie dawało jednak odpowiednich kwalifikacji, a i brakowało doświadczenia, toteż powróciłam do Czerwińska, ale tu z kolei nie było etatu w szkole. Tak trafiłam do GS.

— Ma pani czwórkę dzieci i męża, który pracuje w zielonogórskim Polarisie.

— Mąż Jacek tutaj się urodził, wspólnie chodziliśmy do szkoły podstawowej, później ukończył szkołę zawodową, pracował przez pewien czas na PKP. Chodziliśmy na zabawy, dyskotek wówczas nie było, i... wreszcie doszło do małżeństwa. Jeśli natomiast chodzi o dzieci, to najstarsza córka kończy obecnie ósmą klasę, ma 15 lat, a naj młodszy syn w listopadzie ukończy 5 lat.

— Co pani zdaniem decyduje o przywiązaniu do miejsca zamieszkania? Przecież takich miejscowości jak Czerwińsk jest bardzo dużo...

— Mnie Czerwińsk zawsze się podobał, jest po prostu ładny, położony wśród lasów, dobrze zagospodarowany. I odnośnie do atmosfery takiego miasteczka. Nie wyobrażam sobie życia w dużym mieście, jakoś czułabym się zagubiona. Przecież znam ludzi, ludzie znają mnie.

— Miałam skończyć się kurs prawa jazdy dla czterdziestu osób, ja zrobiłam taki sam dla pań, zgłosiło się około 30 osób. Sama uczyć się byłoby dobrym kierownikiem. Podobnym zainteresowaniem cieszą się wszystkie inne kursy, np. kroju i szycia, na które jest zwykle więcej kandydatek, niż mogę przyjąć. Gdy miałam kurs gotowania, też był pełny komplet. To samo jest z pokazami, prelekcjami. Ale zawsze organizuję to z myślą o konkretnych odbiorcach, o tych, których dana impreza autentycznie zainteresuje.

— Jest to trochę nietypowy ośrodek, bowiem nie spotkałem jeszcze takiego w województwie, który by organizował kursy prawa jazdy czy naukę tańca towarzyskiego. A jakiego typu usługi są tu jeszcze świadczone?

— Mamy zakład fryzjerstwa damskiego i zakład krawiecki. A pozostała praca — to praca społeczno-wychowawcza, nie tylko w ośrodku, lecz i w pobliskich wsiach. Przecież także w naszych klubach rolnika organizujemy kursy i spotkania ze specjalistami różnych dziedzin.

— Od kiedy jest pani członkiem partii?

— Do PZPR należałam od 1971 roku. Byłam później członkiem egzekutywy POP. Po powrocie z urlopu wychowawczego nabrałam jakby więcej energii. Zostałam II sekretarzem. Nasza POP nie przeżyła tak mocno, jak inne większe, fabryczne, wstrząsu posierpniowego. A moja praca w ośrodku zgadza się z działalnością partyjną, bo przecież jestem cały czas w kontakcie z ludźmi, rozmawiam z nimi, dyskutuję. A w zakładzie nasza organizacja się liczy. Odeszła nam I sekretarz, bo się wywodziła z Czerwińska, obecnie I sekretarzem jest emeryt, wieloletni wiceprezes — Mieczysław Rodko. Ma czas, ma po-

mysli, wiele inicjatyw. Prezes jest członkiem naszej organizacji, nie mamy konfliktów z zarządem.

— Ile osób należy do partii?

— 29 osób, to jest około dziesięć procent. Ale przecież trzeba pamiętać, że w samym Czerwińsku mamy tylko około stu zatrudnionych, pozostali — to sklepowi i magazynierzy z okolicznych wsi. Z Łasek, Przylip lub Nietkowiec wiele osób należy do organizacji terenowych.

— Czym konkretnie obecnie zajmuje się wasza POP?

— Oczywiście — dyskusja przed X Zjazdem partii. Na co dzień zaś interesujemy nas głównie problemy społeczno-gospodarcze spółdzielni. Rada nadzorcza zajmuje się tymi problemami z punktu widzenia czysto ekonomicznego, my natomiast — bierzemy pod uwagę przede wszystkim gospodarność i ludzkie bólaki. Na przykład: jeśli w jakimś zakładzie produkcyjnym nastąpił wzrost wydajności, to my interesujemy się tym, czy ci ludzie lepiej pracujący otrzymali należne gratyfikacje, zostali czymś uho norowani. W pewnym sensie wyręczamy związki zawodowe, które niestety, są u nas jeszcze bardzo słabe.

— Znany jest ścisły kontakt ośrodka z młodzieżą miejscowej szkoły. Na prelekcje do ośrodka przychodzi zwykle spora grupa dzieci starszych. Zastępowanie jakby Dom Kultury, w którym przeważnie wieje pustka. Ten kontakt ze szkołą jest szczególnie cenny, jeśli chociażby weźmie się pod uwagę takie oto sformułowanie z projektu Programu na X Zjazd partii: „Za jedno z podstawowych zadań w dziedzinie kultury partia uważa realizację szerokiego programu wychowania estetycznego młodej generacji — dzieci i młodzieży szkolnej”. W pewnym sensie ośrodek realizuje ten słuszny postulat...

— Rzeczywiście, na różne spotkania z literatami, dziennikarzami i artystami zawsze zapraszamy młodzież, o której niesłusznie się mówi, że jest bierna i tylko nastawiona konsumpcyjnie. To nieprawda. Młodzież mamy wspaniałą, o ambitnych zainteresowaniach. Może nieco trudniej jest pracować z tymi, którzy już założyli rodziny bądź wolą zielonogórską kawiarnię od interesującej imprezy w Czerwińsku. Jest natomiast prawdą, że potrzebne jest ożywienie pracy miejscowego Domu Kultury, że zbyt niska jest aktywność ZSMP. Ale jest też prawda, że mamy dobre warunki i wśród tych młodych ludzi mamy — jako ośrodek — wielu przyjaciół. Podam przykład: prowadzę społecznie naukę matematyki dla ponad dwudziestoosobowej grupy dzieci, z którymi nau czyciele w szkole nie mogli sobie poradzić. Zbierali ciagle dwójki. Do mnie przychodzi bez tego strachu o ocenę wpisaną do dziennika, uczą się cierpliwie i osiągają niezłe rezultaty, poza kilkoma osobami, które wyraźnie daleko pozostały w stopniu rozwoju swojej wiedzy matematycznej. Ale pozostałych radość jest dla mnie satysfakcją...

— Czy ma pani wobec tego receptę na życie czynne, szczęśliwe i społeczne?

— Recepty to ja nie mam. Po prostu każdy człowiek jest inny. Lubie być wśród ludzi, cieszyć się razem z nimi. I z tymi seniorami, u których podczas spotkań widzę w oczach łzy wzruszenia, i z tymi najmłodszymi. Ja muszę być aktywna. Ja po prostu taka jestem. Mąż się z tym pogodził i nawet mi pomaga. Otoczenie moje przyjmuje tę moją pracę z sympatią. Bo wszystko, co robię, staram się to czynić pogodnie, czystym z humorem, korzystając z własnych i cudzych doświadczeń. I nie potrafię być obojętna. Pragnę być wszędzie tam, gdzie jestem potrzebna.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: ZENON LUKASZEWICZ



LESZEK KRZYSZOWSKI

Leszek Krzyszowski, absolwent Wydziału Rzeźby po- znajskiej uczelni plastycznej, mieszka w Zielonej Górze od 1959 r. Obecnie tworzy głównie medale — najmniejsze formy rzeźbiarskie. Zaliczany jest do czołówek polskich medalierów, o jego pracach pisze się w najważniejszych opracowaniach krajowych i zagranicznych. Bierze udział prawie we wszystkich wystawach i konkursach krajowych oraz w wielu zagranicznych, uzyskując nagrody. Za twórczość medalierską dostał m.in. złoty medal na I Międzynarodowym Biennale Medalu Artystycznego w Równie, nagrodę w konkursie na medal miasta Paryża.

L. Krzyszowski jest autorem ponad 200 medali i plaketek, w zbiorach Gabinetu Numizmatycznego Muzeum Ziemi Lubuskiej znajdują się 102 prace. Artysta wykonuje swoje medale przede wszystkim w brązie lub cynie, odlewane są one w jego pracowni, część bije Mennica Państwowa lub inne zakłady gisierskie. W galerii Leszka Krzyszowskiego zgromadzone te medale, które najszerzej prezentują jego dorobek artystyczny. Są tam medale poświęcone górnikom przysypanemu ziemią i wykonany w cynie „Zdobycwom Księżyca”, poświęcony ofiarom II wojny. L. Krzyszowskiego interesuje tematyka różnorodna, wykonuje medale z okazji jubileuszy, świąt państwowych, zakładowych, służące do upamiętnienia wydarzeń związanych z regionem lubuskim. Te medale nawiązują do otwarcia księżnicy zielonogórskiej, uruchomienia połączenia lotniczego Zielonej Góry z Warszawą, jubileuszu Teatru Lubuskiego, festiwalu polonijnego, imprez sportowych, winobranicznych. Galeria L. Krzyszowskiego powstała niedawno, artysta długo nie mógł zdecydować się, jak prezentować medale, które w sile oddziaływania nie ustępowałyby obrazom, grafikom czy pełnym rzeźbom. Zde-



cydował się umieścić je w otworach blaszanych ścian, podświetlanych od wewnątrz. Uzyskał efekt zaskakujący: każdy medal tworzy swój odrębny świat. Najwięcej prac L. Krzyszowskiego znajduje się w kolekcji Muzeum Ziemi Lubuskiej, są one także w zbiorach innych placówek, m.in. Muzeum Narodowego w Warszawie, Muzeum Narodowego w Poznaniu, Muzeum Narodowego we Wrocławiu.

Leszek Krzyszowski jest autorem wielu pomników, m.in. Braterstwa Broni w Gorzowie, Braterstwa Broni we Wschowie, Powstańców Wielkopolskich w Opalenicy, współautorem pomnika Bohaterów II Wojny Światowej w Nowej Soli.

AS

— Pójdźmy razem. Chyba nie będę ci przeszkadzał?
— Ty mi nie przeszkadzasz, przeciwnie — zapewnia Zoska — Ale...
— Idziemy do Skidia do matki, jak gdybyśmy byli mężem i żoną. Musz tam naprawdę matkę, można sprawdzić.
— Coś ty? Jaka za mnie żona?
— Jeśli nie chcesz być żoną, to możesz być siostrą. A co? Wiadomo, że we dwójkę raźniej.
— Rzeczywiście. Tylko że...
— Chcesz powiedzieć: co będzie potem w oddziale?
— No.
— Zobaczy się. Może się jakoś wytłumaczymy. Wstawisz się przecież za mną?

Zoska ciągle nie mogła pojąć, co powinna zrobić i na czym się oprzeć, nie wiedziała nawet, co ma odpowiedzieć Antonowi. Jego niedorzeczny uczynek nie pozostawiał wątpliwości: zrobił źle, to jasne, a po powrocie do oddziału nie uniknął biedy. Anton dopuścił się występu, a nawet przebiegłości, samowolnie opuszczając oddział. W pewnym stopniu usprawiedliwiała go tylko okoliczność, że nie poszedł na pijanstwo do jakiegoś chutoru czy na hulankę, ale z nią na niebezpie-

— Chodź, nie bój się!
Przestępując wysoki próg, Zoska bojaźliwie weszła do środka, lecz nie zdążyła jeszcze się rozzejrzeć, kiedy zapadła zgasła.
— O, bardzo dobrze — z zadowoleniem powiedział Anton z głuchej ciemności i zapalił drugą zapalniczkę, która na kilka sekund oświetliła okopcony sufity, mroczne kamienne ściany i ku radości Antona zgasła. — szerokie palenisko pieca na wprost przed nią.
— Rozumiesz? — z radością powiedział Anton.
— Jak jest piec to będzie ciepło. Siadaj tutaj, na słomie, czy co tu jest... Siadaj! Zaraz napalimy sobie w piecu. Coś podobnego!

Nie mając już siły, aby walczyć z dreszczami, które trzęsły ją coraz bardziej, Zoska osunęła się w ciemności na coś zimnego i miękkiego, nie opamiętując się już i szczerząc zębami. Zniechęcone mokre ręce wsunęła za pazuchę, w najsuchsze jeszcze miejsce, zgarbiła się i napięła wewnętrznie w walce z zimnem, które ogarnęło ją już zupełnie. Zamknęła oczy. Dreszcze trzęsły ją okrutnie, ale wewnątrz obory nie było wiatru, a co najważniejsze — było cicho i nie trzeba było iść. Przed oczyma Zoski wszystko zachwiało się, rozplynęło w drzemce i niemocy, i dziewczyna-

Sceny miłosne w literaturze pięknej

bnieniu było wiele przyjemnego, ale to i owo nie pokoiło, chociaż Zoska starała się nie myśleć o tym. Było jej teraz dobrze, ciepło i nawet spokojnie na duszy. W samej rzeczy: nad głową był dach, w piecu pisał ogień, a obok siedział ten, który już tyle razy jej dopomógł. Chciało się myśleć, że nadal będzie tu obok i że wszystko dobrze się skończy. (...)

Wpatrywał się teraz w Zoskę bez cienia ironii. Jego krępka twarz z podbródkiem, trochę już porośnięta szorstką, stała się poważną i zbliżyła się do jej twarzy. Zosce zrobiło się nagle, nie wiedziała, co ma mu odpowiedzieć i w końcu, zebrawszy myśli, ujęła jego lewą rękę, leżącą na jej kolanach i delikatnie uściśnęła ją.
— Dzięki ci za to. Tylko...

— Nie trzeba o tym teraz. Chodź o to — powiedział Anton i zamknął oczy na chwilę, ostrożnie, jak gdyby namyślając się, objął Zoskę. Dławiła go drętwota leciutko, a potem zastępną w milczeniu. — Chodź o to...
Zoska czekała w napięciu, zneruchomiała w jego dziwnie niepokojących objęciach, a on nagle przysunął do siebie jej głowę i desperacko, mocno pocałował w usta.

— Anton!...
— A co ja mogę zrobić? — drżącym z podniecenia głosem wychynał z siebie Anton, nie osłabiając uścisku rąk. — Kocham cię.
— Naprawdę? — wyszeptała Zoska ze zdziwieniem, zmieszana trochę tym jego wyznaniem. Nikt jeszcze nie mówił jej tego słowa i do tego tak bardzo na serio, prawie z rozpaczą; Zoska zamrugała, przerażona swoim absolutnym szczęściem, nie dającym się z niczym porównać.

O! widział, teraz jestem gotów na wszystko — z jeszcze większą desperacją, ciągle drżącym głosem, powiedział Anton. Dziewczyna siedziała nie ruchomo w jego ciepłych, tępiących objęciach i słuchając, jak mocno bije jej serce, zdziwiała się.
— Powiedziałem ci już wszystko. Zbądź wiedział. A ty co mi powiesz?

Zoska milczała, starając się zrozumieć swoje uczucia. Wcale niełatwo było jej tak od razu i prosto w oczy powiedzieć o wszystkim, co czuła wobec tego człowieka, nie mogła nawet w pełni zrozumieć swoich uczuć. Było jej zarazem i przyjemnie, i wesoło, i równocześnie bała się czegoś, i nie wiedziała, które z tych odczuć jest najważniejsze, ani które jest najprawdziwsze.

Nie pamiętała, co było potem. Być może nadzieli sen albo dziwny, wszechobejmujący niebyt, kiedy pamięć i wszystkie odczucia zniknęły; na kilka długich godzin Zoska przestała usłaniać sobie własne istnienie na świecie, jak gdyby uczestniczyła w nim straciwszy przytomność.

...Obudziła się tak samo, jak zasnęła — nagle, pod wpływem jakiegoś niepokojącego bodźca z zewnątrz. Bojąc się poruszyć, otworzyła oczy. W ciemnym kamiennej komórze było ciemno, ale kilka szczelin koło zatkanego słoma okienka błyskało już — jakby o światło — a końce słomek przy szczelinach cichutko szeleściły na wietrze. Było zimno, w ciemnym kwadracie paleniska nie świecił ani jeden węgielek, metnie szarpał odgrapany bok pieca i złowieszczo czerniały okopcone kąty kominki. Nie poruszając się, Zoska obrzuciła kąty niespokojnym spojrzeniem, odgadując, że kiedyś parowano tu pewnie karmę i grzano wodę dla bydła. Później przeniosła wzrok niżej, czując na sobie znajome ciepło kożuszka, a obok szerokie ramiona Antona i spokojny, miarowy oddech. Anton spał i Zoska bała się poruszyć, aby go nie zbudzić. Potrzebowała trochę czasu, żeby pozbierać swoje niewesołe myśli, zrozumieć, co się jej przytrafiło. Zdarzyło się, oczywiście, coś złego. Zoska była winna i robiła sobie wszelkie możliwe wyrzuty. Chociaż rozumiała też, że na wyrzuty było już za późno. Co się stało, to się nie odstanie. Rozsądzisz to, pocieszysz się jedną prawidłową w tej sytuacji myślą, że każdej dziewczynie powinno się kiedyś przytrafić coś takiego. Co prawda może nie w ten sposób, ale inaczej, trochę ładniej, tylko że teraz wszystko w życiu było nie takie, jak bywało od wieku wieków i co gorsza — trwała teraz wojna. A poza tym w październiku Zoska zaczęła dwudziesty rok życia. Nie była już dziewczynką, mogła niedługo zestarzeć się albo zginąć, nie poznała kochania. Tak czy owak, połączawszy chwilę i porozmyślawszy o swojej sytuacji, cichutko westchnęła, z uspokajającym odczuciem, że jej, jak by się wydawało, nie dające się naprawić nieszczeście, odwróciło się chyba — w związku z tym nieoczekiwanym, co prawda, ale może i nie najgorszym, uczynkiem. Jedno było pewne: na jej niełatwej, wypełnionej mnóstwem strachów drodze pojawił się ten zdecydowany, sympatyczny

Zawsze oddzielił uczucie

Wasył Bykow
tłum. Andrzej Biń

(Dokończenie)

czną akcję, z której nie wiadomo jeszcze, w jaki sposób powrócą. I znowu ten strach o nią, nierozważnie prawie ryzyko, ponoszone ze strachu o jej życie, wprawiało Zoskę w zakłopotanie. Odkąd pamiętała, nikt jeszcze nie próbował zrobić niczego podobnego i fakt ten bardziej niż cokolwiek innego osłabiał jej stanowczość, czynił z niej mimowolną współniczkę Galubina.

— No i coś się tak zamysliła? — dziarskim głosem zapytał Anton, zapewne ostatecznie pozbywszy się rozterek. — Nie ma co myśleć, pójdźmy razem, już cię nie opuszczę. A może masz coś przeciwko temu?

— Nie mam nic przeciwko temu, Anton. Na odwrot. Jest mi z tobą, rozumiesz przecież sam... Ale...

— Wystarczy nam różnych „ale”. Nie mówmy teraz o nich... Cholera, marzenie mi jednak ta nożka — powiedział Anton i tupnął parę razy. — W Ostrówku powiesz, że wysłali nas dwoje. Ty jesteś starsza, a ja do pomocy. Przepustkę masz?

— Mam, uhu...
— No to i dobrze. Przeprowadzimy się, a potem się zobaczymy.

Znowu zrobił się pewny siebie, ożywił się nawet, jak gdyby przed nim nie było śmiertelnych niebezpieczeństw i jakby w oddziale, po powrocie z tej samowolnej akcji, zwiadowczej, nie czekały na niego żadne nieprzyjemności. Ale co zrobić — Zoska naprawdę nie mogła odpędzić go od siebie, a zresztą wcale nie miała na to ochoty. Przypomniała sobie swoje wczorajsze samotne błądzenie po bagnach i zrobiło się jej smutnie na duszy. A jak jej będzie na tamtych brzegach Niemna, samej, w nieznanym wioskach, pełnych polickich?

— Nie ma co gadać — Anton, starając się dodać Zosce otuchy, położył jej swoją wielką rękę na ramieniu. — Chodźmy!

I chyba po to, żeby ostatecznie wywieść ją z posępnego zakłopotania, zartem potrząsnął najbliższą brozką, a wtedy cały obłok śnieżynek sygnął na nich oboje. Zoska nie uśmiechnęła się nawet; Anton włożył rekawice i nieśpiesznie ruszył przez zarosła, kopiąc butami głęboki ślad w trawie, przysypanej śniegiem. (...)

Zoska wpatrzyła się w zagajnik z gałązkami oblepionymi szronem — coś tam ciemniało w od dali: budynek, a może stóg siana; prawdopodobnie jednak zagroda. Odwróciwszy się od mokrego, słotnego wiatru, Zoska przeczekwała chwilę, ciągle wpatrując się w ciemność i spodziewając się zobaczyć Antona. Ale zamiast Antona usłyszała jego przytłumiony głos:
— Chodź tutaj!

Pewnie coś znalazł — pomyślała z radością i wybiegła z zarosli. Istotnie za krzakami, na nie śniegu, widac było ściane jakiegoś niezgrabnego budynku, z zawałonym z jednej strony dachem. Budynek otoczony był płotem, zniszczonym i na wpół zasypanym śniegiem, a w pobliżu wałowały się dookoła jakieś narzędzia, także zasypane przez śnieg. Anton obszedł zagrodę i zajrzał w czarną czerstwą szerokiach, otwartych na oścież wrót.

— O, była tu kiedyś ludzka siedziba. Spalona. Tylko obora została.

Rzeczywiście, była to starodawna konstrukcja pańska obora — długi, zbudowany z kamieni budynek z małymi okienkami w ścianie, który stanowił kiedyś pomieszczenie dla zwierząt gospodarskich, a ział teraz czarnym otworem wrót. Nie było widać niczego innego w pobliżu, za oborą rosło tylko kilka wysokich, starych drzew i majaczył w oddali goły, zasypany śniegiem zagajnik.

— Chodź tutaj. Nie bój się — zawołał Anton z ciemnych wrót, z których niosł się gorzki, odór pokorzeliska.

Stąpając nieśmiało po śniegu, Zoska weszła za swoim przewodnikiem w trochę straszna, pustą ciemność obory i zatrzymała się, nie wiedząc, co ma robić dalej.

Tutaj, tutaj — wołał Anton z ciemności i dopiero kiedy w jego rękach pojawiła się płonąca zapalniczka, Zoska zobaczyła w głębi obory na wpół otwarte niskie drzwiczki, a w nich ciemną postać Antona.

na rzeczywistość zasnęła — nagle i tak mocno, że od razu przestała odczuwać, gdzie jest i co się z nią dzieje.

Spała jednak krótko, nie dłużej niż kilka minut. Zrozumiała to, ocknąwszy się z powodu jaskrawej bliskości ognia — Anton krztał się koło pieca, rozpalał jakieś kawałki polamanych desek i Zoska znowu wstrząsnęła się z zimna i ze strachu.

— Nie bój się! To ja. Podsyłałem prochu z naboju. Nie chce się palić, cholera.

Przykucnąwszy koło pieca, hałaśliwie dmuchał w palenisko. Odtamki desek, tili się leniwie w tym płomieniem, kopcały gęstym dymem, który nie chciał zniknąć w piecu i krętymi strumieniami snuł się po oborze. Ale w końcu Anton dmuchnął z całej siły i spomiędzy desek wyszły się kilka języczków płomienia. Uspokojona Zoska przykucnęła obok.

Ocknęła się znowu pod lekkim dotykiem czyjejś ręki, ale wiedziała już, że to ręka Antona i nie przestraszyła się, słuchając jego zlągłego, spokojnego, prawie domowego głosu:

— Słyszysz?... Rozbierał się, będziemy się suszyli.

Otworzyła oczy, czując z przyjemnością łagodny podmuch ciepła — w piecu na całego paliły się deski, a ich czarne końce niezgrabnie wystawały z paleniska na zewnątrz. Po niskim suficie i po kamiennych, mroźnie połyskujących ścianach przebiegały ogniste refleksy. Anton w samodzielnym swetrze kłęczał przed Zoską, a obok rozpięty na kijach suszył się kożuch.

— Słyszysz? Rozbierał się, już jest ciepło. Rzeczywiście, cienna komórka wypełniła się dymnym ciepłem, parą i ciszą, naruszoną co najwyżej trzaskiem płomienia w piecu.

Zoska na dobre ocknęła się z drzemki i uśmiechnęła się.

— No i co, rozgrzałaś się?

— Rozgrzałam.

— A mówiłaś, że... Ze mną nie zginięsz, mała — chwacko obiecał Anton i wepchnął koniec deski do pieca, z którego sygnęło rojem iskier.

— Oj, żeby tylko nie było pożaru!

— Nie będzie; wszystko z kamienia. A jakby nawet spaliło się do reszty, to i tak mała bieda. Ściągnaj buty, bo na pewno mokre.

— Mokre.

— Zdejmij kurtkę i resztę — będziemy suszyli. Nie ma tu teraz ani żywej duszy. Najbliższa wieś aż za Kotrą.

Zoska rozwiązała mokrą, zmieszoną chustkę, a Anton przywiał ją przy swoim kożuchu. Zdjął też kurtkę i przez minutę potrzymał ją przed paleniskiem, dopóki gęste strumienie pary nie znikły w głębi pieca. Buty i dół spodnicy były mokre pewnie jeszcze od wczoraj; Zoska zdjęła buty, a potem, odczekawszy, ściągnęła także swoje wełniane pończochy. Anton umiejętnie rozmieszczał to wszystko na kijach bliżej pieca.

— Masz tutaj, siadaj na kożuchu — już wysześci. Ale się nagrzał! Jak ogień!

Zoska z rozkoszą osunęła się na ciepłą połowę znajomego Antonowego kożucha i wysunęła mokre, zaczerwienione kolana w stronę przyjemnego ognia płonącego w piecu.

— Ta-ak! — z zadowoleniem rzekł Anton i przysiadł bliżej. — A teraz coś przekasimy. O, po kawałku chleba i po dwa kartofle. Za świętą pamięć tamtej babci — zażartował i przełamał pajdę chleba na dwie części.

Milcząc szybko wszystko zjadł, nie zostawiając sobie niczego na jutro. Nie najedł się do syta, co prawda, ale nie narzekali już na głód. Zresztą więcej pożywienia i tak nie można było tutaj znaleźć. Należało wytrwać do jutra.

— No i przenocujemy. A co? Lepiej niż w jakiegokolwiek chałupie — powiedział Anton. Jeszcze bliżej przysunął się do Zoski i żartobliwie tracił ją lokciem. — We dwójkę, nikt nie przeszkadza? Prawda?

Zoska nie odpowiedziała, ale i nie odsunęła się, popatrzyła tylko z rozbawieniem. Może i lepiej, a może i nie — pomyślała. W tym ich odoso-



Zdawało się, że w tym momencie Anton rozumiał ją chyba lepiej niż ona sama siebie.

— Ty mnie przecież takie, ja wiem... Kochasz trochę?

— Widzisz, ja też — cicho powiedziała Zoska.

— Dzielną jesteś...

— Dzięki — gorąco wyszeptał Anton przy samym jej uchu i znowu pocałował w policzek, w czoło i wreszcie — długo i zdecydowanie — w usta.

— Oj, tak nie można! — westchnęła Zoska.

— Można... Można...

Piec i ogień odchyliły się w bok, Zoska poczuła bliskie ciepło kożucha i dziwną, nieznającą sprzeciwu siłę Antona, niecierpliwie ruchy jego władczych rąk. Teraz nie było już jak się bronić.

— Anton!... Antosza...

— Wszystko dobrze, wszystko dobrze, małego — wyszeptał Anton.

— Nie trzeba, Anton... Nie trzeba...

Nie odpowiedział i Zoska z wyraźną rezygnacją zrozumiała całą nieuchronność tego, co wyznikało z jego władczych sił. Jej własna siła i woła znikły, roztopiły się w strachu i ciepłej płynącej z jego objęć. Czula tylko, że robić tak nie powinna, że robi źle; z przytęploną świadomością, dobrze jednak rozumiała, że ginie, ale ta zguba niosła w sobie potężny powab, a co najwazniejsze — Zoska uświadomiła sobie, że ginie razem z nim. To było najważniejszym usprawiedliwieniem i największą pociechą, a być może równie — wielkim szczęściem Zoski.

ny mężczyzna. Chociaż nie na zawsze i pewnie nawet nie na długo. Ale co teraz było na zawsze lub na długo?

Wtuliwszy się w obrończe i łagodne ciepło Antonowego kożucha, Zoska westchnęła znowu: co ma być, to będzie. To, co działo się z nią w ciągu tych dwóch nocy, było trochę dziwne i niezwykłe. Spokoiła na bagnie tego, który był jej przeznaczony, wystraszyła się, potem uśmierzyła, podzieliła z nim swoją pełną niebezpieczeństw drogę, a ta przywiodła ich w końcu nocą do samotnie stojącej obory. Ale co innego pozostało Zosce; mokrej i baziłnej? A w ogóle to jest on dobrym, przystojnym mężczyzną, odważnym i nienachalnym, a za to, co się z nim stało, część winy spada pewnie także na nią samą. Tak już chyba było sądzone. Zosce mówili już rozumni ludzie, że od tego dnia, kiedy zaczęła się wojna, światem zaczęła rządzić przypadkowość: jeden z takich przypadków zawiadzał prawdopodobnie i Zosczynym losem. Czy warto wobec tego tak bardzo się przejmować? Lepiej spokojnie rozważyć wszystko, co się wydarzyło, i ciągnąć dalej, to co się zaczęło: wykonywać zadanie, które, jak Zoska przeznaczała, miało jej przynieść wiele jeszcze niespodzianek, a pośród nich ta była chyba nawet nie najgorsza.

(Fragmenty prozy Wasyla Bykova pochodzą z powieści pt. „Półświatło i nie wróci”, Wyd. Lubelskie, Lublin 1985)



NAJMŁODSI PIANIŚCI W SULECHOWIE

Ważnym elementem w kształceniu przyszłego muzyka — wirtuoz jest możliwość konfrontacji. Świadczy o tym kariera Krzysztofa Jabłonskiego, który właśnie od konkursu w Nowej Soli rozpoczął swe estradowe doświadczenia.

Przynoszą też konkursy wzajemną wymianę doświadczeń oraz przyczyniają się do szerszego poznawania, z czasem i powstania, nowej literatury szkolnej. Przede wszystkim jednak pozwala ją pedagogom sprawdzić zdobytą wiedzę i umiejętności uczniów.

Tymi wszystkimi możliwościami dysponował OGÓLNOPOLSKI KONKURS MŁODYCH PIANISTÓW uczniów Społecznych Ognisk Artystycznych. Lubuskie Towarzystwo Muzyczne, główny organizator już 23 konkursów (co za wspólną tradycją), i tym razem jak zawsze starannie i poważnie potraktowało swoje obowiązki.

Ostatni Ogólnopolski Konkurs Młodych Pianistów pod patronatem Zarządu Szkół Artystycznych MKiS, zorganizowany przez Lubuskie Towarzystwo Muzyczne przy współudziale Wydziału Kultury i Sztuki UW w Zielonej Górze, Ludowego Instytutu Muzycznego w Łodzi, Urzędu Miasta i Gminy w Sulechowie, Społecznego Ogniska Artystycznego Domu Kultury w Sulechowie, odbył się w dniach 16—18 maja w Sulechowskim Domu Kultury. Wzięło w nim udział 33 uczestników z całego kraju, których grę oceniali: prof. Józef Stempel z Katowic, doc. Bronisława Kawalla i mgr Paweł Skrzypek z Warszawy oraz mgr Marek Sundmann z Zielonej Góry. Jury przyznało następujące nagrody: w grupie pierwszej — I nagrodę otrzymała Joanna Oleśka z Białegostoku, II Julitta Józwiak z Sulechowa, III Joanna Łajczak ze Złocieńca i Ewa Musiał z Gliwic; w grupie drugiej — I Marek Grochowski z Sulechowa, II Katarzyna Homa ze Szczecina i Magdalena Kumor z Bydgoszczy, III Elżbieta Strojczak z Krakowa; w grupie trzeciej — Janina Katińska z Wojsztyna, II Izabella Katińska z Wojsztyna, III Katarzyna Kalużyńska z Gdyni i Adriana Wdźkowska z Bydgoszczy. Wyróżnienia: Paweł Cieślak z Łidzbarka Warmińskiego i Arkadiusz Kwieciński z Olawy, a nagrody specjalne: Maja Michałow z Przemysła (dla najmłodszego uczestnika konkursu), Joanna Oleśka (za najlepsze wykonanie utworu polifonicznego) i Janina Katińska (za najlepsze wykonanie utworu F. Chopina). Za najlepsze wykonanie utworu współczesnego kompozytora polskiego jury nagrodziło: Janinę Katińską, Katarzynę Homę i Gabriellę Lebidziwicz ze Szczecina. Cenne nagrody ufundowali organizatorzy, a w zakwaterowaniu uczestników konkursu pomogli Wojewódzki Ośrodek Postępu Rolniczego w Kalsku oraz Kuratorium Oświaty i Wychowania.

Prof. J. Stempel powiedział, m.in.: „należy wyrazić radość, że bardzo nie



MAREK GROCHOWSKI

liczne miejsca związane z pobytami Fryderyka Chopina są zużyte, a tworzą się w nich ośrodki kultury naszego największego kompozytora. Do takich miejscowości zalicza się Sulechów. To bardzo piękna idea. Ukłony dla rodziców i działaczy za popieranie i realizację tej idei. IV konkurs jest kontynuacją odbywających się tutaj niegdyś słów chórow. Z tej tradycji należy się cieszyć. Sądzić też należy, że organizatorom nie zabraknie zapału do przeprowadzenia następnych konkursów imprez o takim samym celu.

Jak zawsze konkursowi towarzyszyły występy znanych pianistów, członków jury. Z recitalami pianistycznymi wystąpili w Sulechowie, Gubinie i Zaborze, wzbudzając uznanie słuchaczy: Bronisława Kawalla, Józef Stempel i Paweł Skrzypek. Do ciekawych form towarzyszących należały seminaria metodyczne. Referaty wygłoszone przez doc. B. Kawallę i mgr M. Sundmanna, tym cenniejsze, że oparte o własne doświadczenia z pracy z młodzieżą szkolną. Bardzo interesujące wypadło spotkanie członków jury i organizatorów z nauczycielami młodych pianistów — uczestników konkursu. W koleżeńskim atmosferze do konano analizy gry i oceny występujących uczestników oraz przekazano pewne rozwiązania metodyczne, a także dyskutowano nad treściami programowymi i ich sprawami organizacyjnymi. W dyskusji zabrakło głosu wielu nauczycieli. Dyrektorka Spółdzielczych Ognisk Muzycznych w Poznaniu mgr Lucja Zwola kiewicz powiedziała: „Uważam, że impreza była sukcesem. Nasi uczniowie biorą w niej udział co roku i z roku na rok obserwujemy wzrost poziomu wykonawczego. My nauczyciele wyjeżdżamy z Sulechowa zadowoleni, bowiem tylko tu spotykamy się z ciekawymi seminariami metodycznymi dla nauczycieli ognisk muzycznych”.

Ciekawa też była, aczkolwiek skromna, wystawa poświęcona F. Chopinowi.

BOGUSŁAW STANKOWIAK

W poszukiwaniu tożsamości

Zielona Góra nie należy do miast wyraznie zaznaczających swą obecność na mapie teatralnej kraju. Nie znaczy to, że np. w teatrze studenckim nie się nie dzieje. Od sześciu lat funkcjonuje tu grupa „Z przeniesienia” (pierwotna nazwa „Styk”), która na swoim koncie ma niemałe doświadczenia i osiągnięcia. Koło jej losu od momentu zaistnienia ulegało wielu zmianom — zmieniali się skład osobowy zespołu, zmieniali się sponsorzy (teatr rozpoczął swą działalność przy WSiN, ostatnio zadeklarowało opiekę nad nim Akademickie Biuro Kultury i Sztuki „Alma-Art”) Stali się tylko jego założyciel i kierownik Roman Wieckowski.

Oblicze artystyczne teatru z czasem nabierało wyraźniejszych kształtów. Po czterech lat osiemdziesiątych — to proces radykalnych zmian zachodzących w Polsce. Otaczająca rzeczywistość nie mogła nie wpłynąć na sposoby myślenia, odczuwania, postawy młodych ludzi. Problemy, pytania mnożyły się. Należało je wyartykułować. Powstające w tym czasie spektakle teatralne były próbą odnalezienia się w zaistniałej rzeczywistości, ustosunkowaniem odpowiedzi na rodzące się kwestie.

Zespół ma na swoim koncie kilka przedstawień, między innymi „Druk” według S. Grochowiaka, „Samoobronę” według H. Kajzera, „Gdzie jest ojczyzna Bogów” na podstawie tekstów T. Konwickiego i Z. Herberta czy „Pana T.” wykorzystującego teksty J. Tuwima. Ostatnio teatr „Z przeniesienia” przygotował „Odcień” według H. Kajzera ze scenariuszem R. Wieckowskiego. Jest to sztuka dotycząca kilku płaszczyzn — problemów społecznych, uwarunkowań politycznych oraz indywidualnej kondycji ludzkiej. Zasadniczą jednak myślą przedstawienia jest próba poszukiwania przez człowieka jego znaków tożsamości. Stawiane pytania: kim jestem, po co żyję, na ile decyzyjny i wolny moralnie, zdefiniowane są warunkami, okolicznościami, układami, gdzie jest granica między wyborem zgodnym z własnym sumieniem a tym manipulowanym, nie są pytaniami prostymi. Nie są też pytaniami, które mogą pozostać bez odpowiedzi.

Ambicją zespołu jest zaprezentowanie się w innych środowiskach studenckich, także podczas przeglądów teatrów studenckich, w kraju.

ALICJA JĘDRZEJCZAK



Szkoła zła

Suchowo-Kobylin jest autorem tylko trzech utworów dramatycznych: „Małżeństwa Kreczyńskiego”, „Sprawy” i „Śmierci Tarekina”, stanowiących trylogię obyczajowo-satyryczną, której autor nadał w wydaniu z r. 1869 tytuł „Obrazy przeszłości”.

Śmierć Tarekina to historia przeciętnego urzędnika rosyjskiego zaszczytowanego przez swoich kolegów i współpracowników — czynowników, ale próbującego również walczyć z nimi. W tym celu Tarekin użył tych samych środków, jakie stosowano wobec niego: podkradanie tajnych papierów urzędowych, łapownictwo, donosicielstwo. W gruncie rzeczy główny bohater nie zasługuje na łaskę czy współczucie, bo jest on tak samo podły, wyrachowany, postać jak jego przeciwnicy. Tarekin chce ich przechrzyć zainscenizował własną śmierć. Przybrał nazwisko czło-wieka, który zmarł naprawdę. Wciela-jąc się w jego skórę oraz dziedzicząc jego nazwisko, musiał przyjąć na siebie także jego dorobek życiowy w sensie charakteru i zobowiązań. W związku z tym wpisał się w wiele nieprzewidywanych sytuacji, które decydują o komizmie i zarazem tragizmie sztuki. Ten „zart sceniczny” jakim jest „Śmierć Tarekina”, przemycia pod pozorem noweliowych przebiegów treści wcale nie żartobliwe. Atakuje filary carskiego samowładztwa: administrację państwową i policję. Dzięki sztuce poznajemy machinę biurokratyczno-policyjną. Jej reprezentanci demaskują się wzajemnie. Sami o sobie i o sobie podobnych wygłaszają oskarżycielskie ty-rady. W utworze toczy się walka „złego” z „gorszym” a z walki tej wyjdzie zwycięzca bardziej przebiegły, bardziej krwiożerczy, bardziej bezwzględny. Świat Tarekinów, Warrawinów, Rasplujewów jest bezsensowny, okrutny, niezrozumiały. Nie można go akceptować. Można go tylko nienawidzić. Pa-rodia i groteska zespoliły się w tej sztuce z ponurą beznadziejnością rosyjskie-go bytu.

„Śmierć Tarekina” wyrosła z osobistych doświadczeń autora. Posądzony o zamordowanie przyjaciółki przez wiele lat wpłatał był w proceduralne powi-kania carskiego sądownictwa. Poznał jego najciemniejsze strony. Zdał sobie sprawę, co słusznie zauważył Jan Ost: „jak mało znaczący i niebezpieczny może być rozpadnięty samowładztwa (apokarypskiej) zachłanności”.



FERDYNAND ZAŁUSKI



Jerzy Borek, Mariusz Szafarz

Z pewnością nie łatwo jest odtwo-rzyć makabryczny humor, komizm sy-tuacji, bogactwo społeczno-obyczajowe sztuki Suchowo-Kobylińska. Jednak Teatr Lubuski podjął się tego zadania. Warto się przyjrzeć przymiarce lubuskiego zespołu do tej niebanalnej sztuki. Już przed wejściem na widowie Malej Sceny widzowie zostają wciągnięci w problematykę spektaklu. Drzwi otwierają groźni, ob uzorowani w grubo kije dwaj policjanci: Szatała i Ka-czała. Mimo rozkazu: „Wejść” — za-straszeni trochę widzowie nie przedko-decydują się na przestąpienie progu. Wkrótce zapalają się światła i ukazu-je się dość nieprzyjemny widok: rodzaj nieczystnie zagospodarowanego pokoju, jakieś stare łóżko, wiekowa komoda, wąska szafa z lustrem a w dalszej czę-sci sztuki — trumna, szmatą przykry-tą stoł, poniewierające się w kącie oo-darte walizki, krzesło, parawan a na dodatku posrodku sznur zawieszony białym. Oto scenografia, w której po-znajemy głównego bohatera.

Z barłogu zwleka się jakiś cudak w rudej peruce, potracając różne sprząty, i rozpoczyna monolog. Początkowo stoi przed widzami ktoś, kto nie tyle wzru-dza współczucie co zainteresowanie swoi-mi kłopotami. Poznajemy Tarekina jako człowieka zatamanego. Dopiero z biegiem akcji odkrywa swoją właści-wą twarz. Stopniowo wciąga nas w swój chytry plan upozorowanej śmier-ci. Kiedy pomyśli przetrwać się w ra-czywistość i Tarekin każe Mawrusz grać mieszczliwą służącą po stracie pa-ria, odkrywamy jego podłość. Wyco-dzi też na jaw jego podstępne i przebiegłe ukryte posępowanie względem Warrawina. Tarekin (Mariusz Szafarz) szczególnie dobrze ujawnia swoje obli-cze w dialogu z Rasplujewem. Szafarz gra Tarekina z dystansem i trochę ma-ło odczuwa, jakby się bał obnażyć za-pelnienie tę bestię, jaką jest bohater. Po-winno być bardziej odrażający. Naj-lepszy jest wtedy, gdy wygłasza pes-nad trumny, na swoją cześć. Warrawin — główny przeciwnik Tarekina to postać przewidywalna go nie tylko po-zycją społeczną, ale przebiegłością i ar-anżowaniem. Jerzy Borek kreuje tę po-stać jako osobę pozornie dystygowa-ną, która z większą elegancją i dosto-nością niż Tarekin potrafi popieścić każ-dą podłość. Jest to już wyższe wa-jemniczenie w zół. Jedynie na scenie sami na sam z Tarekinem przystaje się maskować. Aktor kreuje Warrawina za-gwałtając, lecz nie zawsze doskona-ł. Szczególnie, gdy dąży się zdawać w pierwszej części sztuki niezbyt dokład-nie opanowanie tekstu. Oraz natom-iast budzi jego złośliwy i ironiczny uśmiech, co stanowi zaletę konstrukcji postaci. Do takiej doskonałości w czy-nieniu zła nie dorasta Rasplujew, in-spektor cyrkowy, czemu sprostał Ferdy-nand Załuski, którego bestialskie po-stępowanie wobec przesłuchiwanego świadka w celu wymuszenia fałszy-

wych zeznań staje się dla widza naocz-ne. Ciekawie została rozegrana scena obżarstwa i pijanstwa Rasplujewa.

Bliski Warrawina w swym postępo-waniu jest Och (Jerzy Kureczuk). I on próbuje nie spalić rąk nieczystymi przesłuchaniami. „Brodna robota” zo-stawia dla Rasplujewa, tylko się przy-siuchując, lecz w decydujących momen-tach wydaje rozkazy. W perfidny spo-sób od świadka Popugajczykowa wylu-dza wysoką łapówkę i upija się w car-skim cyrku. (Na scenie zaznaczonym tylko dwoma biurkami i ciemnicą). Je-rzy Kureczuk nieźle zaprezentował się w scenach poniżenia Rasplujewa. Da-nuta Snella jako Mawrusza dobrze ro-zegrała ten teatr w teatrze. Zawodziła jakby naprawdę umarli ktoś jej bliski. Doorze kreowała swoją rolę Ewa Ra-czy (Ludmila Spiridonowa) praczą i ku-czarka Kopyłowa, na którego charak-teryzował się Tarekin. Wprowadziła elementu odrażającej erotyki, w czym pomaga jej niewątpliwie doskonała charakterystyka. Ciekawie zaprezen-to-wał się Bogdan Warchoł w roli techorliwego ziemianina Czawankina. Ładnie opowiadał mimiką. Sławomir Kuligow-ski zaś wystąpił w roli kupca Popuga-jczykowa, który zarówno strojem jak i postępowaniem udawał, że za pie-niądze można wszystko kupić, nawet carską policję, która, jak dla lepszego gościa, poda mu wygodne krzesło. Aktor poprawnie zagrał tę uszywnio-ną postać, podkreślając to gestem i za-enowaniem. Wśród dość licznej grupy aktorów nie można pominąć Józefa Mi-chalcwicza (stróża Pachomowa), które-go gra przyciągała uwagę widzów.

Dużą zasługą reżysera jest fakt, że sztuka nie stała się jedynie pojedy-nkiem między Tarekinem i Warrawin-em, ale odnosi się wzajemnie, że wszy-stkie postacie na scenie są równie waż-ne. Wciąż toczy się walka pomiędzy wyższymi rangą a ich podwładnymi. A im wyższe stanowisko, tym doskonalsza szkoła zła. W zakończeniu spektak-lu reżyser sugeruje, że zwycięży, nie-jak pisze Kobylin — Warrawin — lecz carska policja. Trudno dociec, kto ma-racie. Sądząc z zachowania publiczno-sci, spektakl podobał się i zyskał jej aprobatę.

ANNA DZIECHCIAROW

Teatr Lubuski im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Premiera 18 maja 1988 r. Reżyseria: Marek Chelminski. Scenografia: Teresa Darocha. Opracowanie choreograficz-ne: Wojciech Kreczyński.

Obsada: Kandyd Kąstrowicz Tarekin — Mariusz Szafarz, Maksym Kuzmich Warrawin — Jerzy Borek (gocinnie), Iwan Antonowicz Rasplujew — Ferdynand Załuski, Antioch Jędrzejewicz Och — Jerzy Kureczuk, Mawrusza — Danuta Snella, Ludmila Spiridonowa Brandachystowa — Ewa Ra-czy, Czubisow, Wierzytel i, Elegant Jędrzejewicz Popugajczy-kow — Sławomir Kuligowski, Iwasow, Wierzytel II — Dariusz Klimek, Omega, Wierzytel III, Ziemia, Czawankin — Bogdan Warchoł, Pachomow Józef Michalciewicz, Szatała, Kaczała.

Fot. BRONISŁAW BUGIEL

PO MAJOWYCH DNIACH KULTURY...

Dni Kultury, Oświaty, Książki i Pracy, w tym roku obchodzone były w klubach RSW nieco skromniej niż w latach ubiegłych. Niedostateczna ilość książek, zwłaszcza nowości, wpłynęła na to, że tylko nieliczne placówki wiejskie, jak np. Krzystkowiec i niektóre inne urządziły własne kiermasze. Mniej było również wystawek książek i obwołów, które kiedyś, szczególnie w tym okresie, zajmowały pierwsze miejsca w wszystkich placówkach wiejskich. Ale i teraz w wielu klubach sięgnięto do tej formy upowszechnienia czytelnictwa, jak chociażby w Lipinach, Łagowie k. Krośna, Chwałowicach, Chotkowie, Swarzenicach, Nowym Kramsku, Letnicy, Grabowcu, Niwiskach i wielu innych.

Więcej natomiast uwagi poświęcono wystawkom prasowym i kącikom czytelnictwa. Takie wystawki znalazły się w większości klubów. Widziałem je na przykład w Bukowie, Swarzenicach, Biełowie, Sucheju, Kaczenicach, Podlegórzcu. Urządzali je najczęściej we własnym zakresie gospodarze placówek, społeczność rady klubów, organizacje młodzieżowe, a często także koła gospodyń wiejskich.

Podobnie popularyzowana była plastyka dziecięca. Ponieważ w tym okresie dzieci przygotowywały swoje prace na coroczny konkurs pod nazwą „Gdybym był pisarzem i malarzem”, w wielu klubach wykorzystano „dzieła” młodych artystów do urządzania wystaw. Często organizowano przy tym wspólne oceny i dyskusje pod kierunkiem gospodarzy, bądź kierowników sekcji i kół plastycznych.

Nową formę upowszechnienia dorobku kulturalnego, formę, tzw. „wzajem-

nych prezentacji”, podjęto w klubach macierzystych przedsiębiorstwa zielonogórskiego. Polega ona na tym, że zespół artystyczny z jednego klubu jedzie na gościnne występy do innej placówki, gdzie prezentuje swój program. Tym razem amatorski zespół dziecięcy z Klubu w Sionem, prowadzony przez dyrektorkę tamtejszego przedszkola Danutę Czerniawską, wystąpił w Klubie w Kaczenicach, gdzie oglądali go miejscowe dzieci i dorośli. Ta forma „wzajemnych prezentacji” artystycznych, zostanie rozszerzona i będzie kontynuowana nadal, gdyż jak się okazało, takie występy są doskonałą metodą upowszechnienia amatorskiego ruchu artystycznego wśród najmłodszych.

Odbiwały się także spotkania z pisarzami lubuskiego środowiska twórczego oraz spotkania z dziennikarzami „Gazety Lubuskiej” i „Nadodrza”. Ze względu na szczupłość środków było ich trochę mniej niż w poprzednich latach, ale i ta ilość spotkań pozwoliła dziennikarzom i literatom zbliżyć się do swoich czytelników w środowisku wiejskim, wysłuchać ich problemów i podzielić się z nimi swoimi spostrzeżeniami i doświadczeniami.

Do klubów docierali także prelegenci Towarzystwa Wiedzy Powszechnej i Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej z programem popularyzującym wszelkie dziedziny wiedzy, w tym także upowszechnienie czytelnictwa, kultury i oświaty.

Jako, że w maju przypadała 41 rocznica zwycięstwa nad faszyzmem, nie zapomniano również o tym doniosłym wydarzeniu. Przypominały to wywiesz-

ne w klubach fotogazetki, gazetki ścienną z wycinankami prasowymi, hasła i emblematy. W niektórych placówkach, takich jak: Kaczenice, Klepina, Urzuty, Łężyca i inne odbyły się prelekcje poświęcone udziałowi Wojska Polskiego w walce z faszyzmem.

Część klubów, jak na przykład: Letnica, Lipiny, Niwiska i inne włączyła się ze swoimi programami do uroczystych obchodów święta ludowego w gminach, gdzie oprócz programów artystycznych organizowano festyny, „zielone zabawy” połączone z grami zręcznościowymi i konkursami oraz zabawy dla dzieci.

Do tradycji należy już w klubach Dzień Matki. Ilekroć nadchodzi ten dzień, myśl i uczucie na dźwięk tego słowa! Toteż w każdym, nawet najmniejszym klubiku, zawsze w maju odbywa się różnorodne imprezy artystyczne, często przy hebarcie i ciastkach wypiekanych przez członkinie kół gospodyń wiejskich.

Na podkreślenie zasługuje fakt, że z okazji Dnia Działacza Kultury sześć osób spośród gospodarzy i pracowników zostało nagrodzonych przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Zielonej Górze. Nagrody pieniężne otrzymali: Eugeniusz Królak — z-ca kierownika Działu Kolportażu, Propagandy i Kultury Oddziału RSW w Zarach, Genowefa Drzewicka — gospodyni Klubu w Chłchach Oddział Zary, Irena Galas z Klubu w Nowym Kramsku Oddział Sulechów, Irena Spyra z Klubu w Radnicy Szklarskiej Oddział Krośna Odrzańskie, Helena Boczar z Klubu w Niwiskach PUPIK Zielona Góra oraz Teresa Głowienkowska z Klubu w Łężykach, również PUPIK Zielona Góra.

Wiele gospodyń klubów otrzymało także nagrody i wyróżnienia bezpośrednio w swoich oddziałach macierzystych.

ZENON CZARNECKI

PS. W nawiązaniu do poprzedniej publikacji, dotyczącej klubu w Bukowie, informuję, iż do tekstu wkraśli się błąd. Klub w tej miejscowości dysponuje obecnie kilkoma pomieszczeniami.

wadzącą zbiorów wśród zainteresowanych. Jak twierdzą działacze LZS-u, w drużynach tych jest wielu utalentowanych piłkarzy. Czasem udaje się któreś muś przejść do drużyny wyżej notowanej, tam gdzie w grę wchodzi już mniej szej i większe wynagrodzenia, i to najczęściej psuje zawodnika. 21 piłkarskich klubów, to już futbolowa arystokracja pozostająca poza strukturą LZS-u, do nich należą „Czarni” Żagań i „Piast” Iłowa.

Funkcjonowanie drużyny zależy od upartych działaczy lub działaczki. Muszą to być ludzie, którzy, gdy ich wyrzucą drzwiami, wejdą kominem. Często jest zwykła żebraniarza. Działacz z piłkarskich dół nieraz dołpaca do interesu z własnej kieszeni, nie dla niego zagraniczne wojaże, bankiety i zaszczoty.

Innym problemem piłkarskich nizin jest sprawa sędziów i sędziowania, często postawa i umiejętności sędziego pozostawiają wiele do życzenia, stają się powodem konfliktów i kontuzji.

Jakoś tak w życiu bywa, że najłatwiej przyjmowane są wzorce negatywne, złe przykłady z góry, których w wielkim piłkarstwie nie brakuje. Jakby powtórzeniem sytuacji z pamiętnego meczu Widzewa z Juventusem stała się sytuacja z meczu w Wymarkach. „Kibic” rzucił w sędziego butelką po wodę, wyczyn ten kosztował go 120 tysięcy zapłaconego kolegium. Na szczęście nie są to sytuacje codzienne. Piłka nożna integruje duże grupy mieszkańców wiosek, a także pozwala na wyzycie się w autentycznej działalności. Tak jest w wypadku drużyny ze Swidnicy, czy ze Sionem, gdzie jeden zaangażowany człowiek spowodował, że obecnie drużyna posiada własny autobus, a transport — jak już wspominałem — jest dla piłkarstwa uboższego pierwszym szczeblem do sukcesów.

PIOTR PIOTROWSKI

W Zielonogórskim Zarządzie Ludowych Zespołów Sportowych trafiał na rocznicę 40-lecia. Jest to jednocześnie czterdziestolecie piłki nożnej na Ziemi Lubuskiej. Obecnie na blisko 130 boiskach gra w rozgrywkach piłkarskich około 130 drużyn, od ligi wojewódzkiej do D-klasowych zespołów włącznie. Właściwie D-klasa jest tworem nieoficjalnym od niej zaczyna się szlify w piłkarskich rozgrywkach. Po wygraniu D-klasowej grupy zaczyna się już schody. Drużyny C-klasowe mają już trzydziestokilometrowe wyjazdy i dalsze. Większość drużyn boryka się z podobnymi problemami. Gdy jest już boisko z bramkami, zasadniczym problemem staje się sprawa transportu. Nie jest odoobnionym przypadkiem, że na osiem zaplanowanych meczów trzy kończą się walkowerem. Drużyny poszukują opiekunów z pieniędzmi i transportem. Najczęściej pomoc znajdują w zakładach gospodarki żywnościowej, są to: PGR-y, GS-y, SKR-y. Pieniądże wygospodarowuje się znajdując różne kruczki prawne, organizując zabawy, lub przepro-

roki wachlarz tematyczny, jak również forma wypowiedzi autorów na łamach, daje czytelnikom nie tylko możliwość wyboru interesującej go pozycji, lecz także stwarza możliwość ułożenia się z poglądami dziennikarzy Państwa redakcji.

Z dużym zainteresowaniem czytałem rubrykę „Opinie i refleksje” p. red. Michała Horowicza, z której to pomimo swoich zainteresowań, ogólnospołecznych i wieku (58 l.), dowiedziałam się wielu ciekawych szczegółów. A przecież dla młodzieży są to wiadomości wprost bezcenne z uwagi na brak znajomości języków obcych i dostępu do źródeł. Rzadkością w redakcjach są tacy redaktorzy znający kilka języków obcych, dzięki którym czytelnicy czerpią nowiny i wiedzę z szerokiego świata.

Imponująco graficznie i tematycznie rozwiązane są rubryki: „Z regionu”, „Za Odrą”, „Za Łabą” oraz „Z Nadodrza”.

Również pozycje „Postawy”, „Marginalia”, czy „Na mię” — czytałem z prawdziwą satysfakcją, a równocześnie z zalem, że w Poznaniu zarówno w nie dzielnych wydaniach gazet jak i periodykach nie znajdują tak niezbędnych wprost tematów obyczajowej kultury, piękna mowy czystej i wielu walorów, jakie znalazłam w „Nadodrzu”. Nawet rozrywki umysłowej nie są szlampową krzywką.

Jeżeli na tym słońcu szukać plam, to zaawżyć jest można w jakości papieru i nienajlepszym druku.

Serdecznie gratuluję więc Paniom i Panom Redaktorom, życząc nadal utrzymania wysokiego poziomu Waszego pisma oraz godnej oeny trudnej pracy dziennikarskiej dla wspólnego dobra.

Z poważaniem
Aleksandra Modzelewska
Poznań
ul. Jackowskiego 58 m. 10

GORZÓW. Z udziałem wojewódzkich i miejskich władz politycznych oraz administracyjnych odbyła się wojewódzka uroczystość z okazji Dnia Działacza Kultury. W trakcie spotkania Krzysztof Kawałkowski Orderu Odrodzenia Polski otrzymał: Maria Horbanowicz, Mieczysław Noga, Lidia Nowak i Regina Wegnerowska. Działaczom kultury wręczono także 8 złotych, 2 srebrne i 1 brązowy Krzyże Zasługi, Medale 40-lecia Polski Ludowej, „odznaki „Zasłużony działacz kultury” oraz odznaki honorowe „Za zasługi dla województwa gorzowskiego”.

W Muzeum Okręgowym ostatnio otwarto dwie wystawy — ze zbiorów Muzeum Narodowego w Poznaniu i Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem. Gorzowska placówka stale powiększa własne zbiory, spora ich część znajduje miejsce w przyszłym roku w nowym obiekcie — zabytkowym spichlerzu nad Wartą, którego restauracja dobiega końca. Najważniejszym przedsięwzięciem Muzeum Okręgowego pozostaje organizacja skansenu budownictwa wiejskiego w Bogdanowie, gdzie już znajduje się młyn wraz z zagrodą z 1827 r. Spelnia on nadal swą funkcję. W jednym z budynków gospodarczych zostanie uruchomiona greplarnia.

SULECIN. Po latach przerwy miasto zorganizowało Dni Sulecina. 30 maja barwny korowód przeszedł ulicami miasta. Na stadionie odbyły się imprezy rekreacyjne i sportowe. Nie zabrakło pokazów strażackich i zabaw dla młodzieży. W domu kultury, oddanym po remoncie jesienią ubr. do użytku, zespoły rockowe z 5 województw walczyły o miano najlepszych. 1 czerwca odbyły się imprezy dla dzieci. Dni Sulecina zakończył mecz piłki nożnej rozgrywany pomiędzy reprezentacjami Sulecina i Beskow z NRD.

MIEDZYBÓLECZ. W V Ogólnopolskim Konkursie Akordeonowym uczestniczyło 160 osób. Jury pod przewodnictwem doc. Joachima Richury z katowickiej Akademii Muzycznej przyznało nagrody: w grupie do 12 lat — Maciejowi Kowalczykowi z Poznania, Radosławowi Kosińskiemu ze Szczecina i Karolowi Słonkowi z Radomia; w grupie do 15 lat — Grzegorzowi Małagowskiemu z Przemyśla, Małgorzacie Lewandowskiej z Mławy, Robertowi Jezewskiemu z Rybnika i Marii Marciniak z Przemyśla; w grupie powyżej 15 lat — Piotrowi Rangno z Wrocławia, Danucie Wimie z Gdańska i Mirosławowi Stępniewi z Katowic. Wśród wyróżnionych znalazł się Krzysztof Konkur z Zielonej Góry.

SLUBICE. Slubiicki Międzyorganizacyjny Ośrodek Kultury był gospodarzem Recytatorskiego Turnieju Poezji Miłosnej. Pierwszą nagrodę wraz z „Bursztynowym serduszkim” otrzymała Barbara Dymek z Wrocławia, drugą — Sylwia Graczyk z Ciechanowa i Jacek Braciak ze Strzelca Kraja, trzecią — Andrzej Wiśniewski z Wałcza. W konkursie wzięło udział 40 recytatorów.

SWIEBODZIN. Spektaklem „Krakowiacy i Górale” w wykonaniu Teatru im. Juliusza Osterwy zostały zainaugurowane Dni Regionalne, organizowane przez Świebodziński Dom Kultury, Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Świebodzińskiej i władze oświatowe. Z udziałem około 5 tys. gości i świebodzińskich szkół średnich, uczniowie szkół podstawowych uczestniczyli w III Turnieju Żaków. Na zakończenie Dni Teatr Zagłębia z Zabrza wystawił spektakl muzyczny „Straszny szmal”.

LUBSKO. Do 30 maja trwały Lubuskie Dni Regionalne. Odbyły się turnieje szkół „Święto zucha”, impreza plenerowa „Sport i zabawa”, festyn motocyklowy, przegląd zespołów muzycznych o „Złotą gitarę”, wojewódzki przegląd teatrzyków lalekowych szkół specjalnych, a także sesja popularno-naukowa z okazji 140 rocznicy uruchomienia linii kolejowej do Lubska.

NOWOGROD BOB. W tutejszym domu kultury, przekazanym społeczeństwu po remoncie, zorganizowano wojewódzką uroczystość z okazji Dnia Działacza Kultury. Obecni przedstawiciele wojewódzkich władz partyjnych i administracyjnych Krzysztof Kawałkowski Orderu Odrodzenia Polski udekorowali: Kazimierz Głanc z Zagania, Jana Krukowskiego i Zbigniewa Krydę z Zielonej Góry oraz Ryszarda Swiderskiego z Przewozu. 9 osób odznaczono Złotymi Krzyżami Zasługi, 1 — Medalem 40-lecia Polski Ludowej, 22 — odznakami „Zasłużony działacz kultury” i 4 — odznakami „Za opiekę nad zabytkami”. Nagrodę ministra Kultury i Sztuki otrzymał Stanisław Hajzer — instrumentalista Filharmonii Zielonogórskiej, nauczyciel i wychowawca.

ZIELONA GÓRA. W Lubuskim Towarzystwie Kultury jest sfederowane 21 towarzystw regionalnych oraz 5 sekcji. Podczas niedawnego posiedzenia Rady LTK dokonano wyboru delegatów na III Kongres Towarzystw Regionalnych, który sięgają odbyć się w Poznaniu. Towarzystwa sfederowane w LTK będą reprezentowali: dr Irena Sienicka-Szeja z Łagowa, Ryszard Bucholski z Nowej Soli, dr Tomasz Jaworski z Zar, Alicja Karpowicz z Zielonej Góry, dr Czesław Gordziewski ze Świebodzina, Wanda Kościuszkiewicz z Zielonej Góry, Stanisław Wesołowski z Jasienia i Czesław Olejnik z Wolsztyna. Rozstrzygnięto konkurs na reportaż radiowy „Porozumienie”. Główną nagrodę Prix Wigry otrzymała red. Idalia Blaszczyk z zielonogórskiej Rozgłośni Polskiego Radia.

DNI KULTURY POLSKIEJ W NRD. Od 30 maja do 6 czerwca w NRD trwają Dni Kultury Polskiej. W okręgu Frankfurt nad Odrą występowały zespoły artystyczne z woj. gorzowskiego, m.in. Teatr im. Juliusza Osterwy wystawił „Krakowiaków i Górali”. W galerii Junge Kunst wystawiali swoje prace graficy gorzowscy, w Eberswalde-Finow — Ewa i Wiesław Strebekowie. Działacze kultury i pisarze spotkali się z członkami Kulturbundu. W okręgu Cottbus prezentowali swoją sztukę twórcy zielonogórscy, m.in. plastycy amatorzy i fotograficy. Przed publicznością enerderską wystąpiły zespoły młodzieżowe. Członkowie zielonogórskiego Oddziału Związku Literatów Polskich spotkali się z członkami Związku Pisarzy NRD. W kilku miastach okręgu Cottbus występował Lubuski Zespół Pieśni i Tańca.

ZAPROSILI NAS: Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Zielonej Górze na miejską uroczystość Dnia Działacza Kultury; Dom Kultury „Novita” w Zielonej Górze na „Święto osiedli Zielonogórskiej Spółdzielni Mieszkaniowej”; Lubuskie Towarzystwo Naukowe na seminarium poświęcone sytuacji międzynarodowej Polski w Europie w okresie międzywojennym; Galeria Sztuki PSP w Zielonej Górze na otwarcie wystawy prac Jana Pręgowskiego; Biuro Wystaw Artystycznych w Gorzowie na otwarcie wystaw — tkanina artystyczna Jagi Jarosiewicz-Olesiak i „Dzieci dzieciom”; Kożuchowski Ośrodek Kultury na X Dni Ziemi Kożuchowskiej. Dziękujemy.

NADODRZE

DWUTYGODNIK SPÓŁCZYNNO-KULTURALNY
ORGAN LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I p. oraz adres dla korespondencji: 65-988 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 40. Telefon: redaktor naczelny i sekretariat — 708-35, sekretarz redakcji — 39-13 oraz centrala — 46-61 do 7 łączy telefony wewnętrzne. Telex — 043-2253.

Redaguje zespół: Halina Afńska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.), Michał Horowicz, Janusz Koniusz (red. naczelny), Małgorzata Kowalska-Masłowska (sztykista), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. naczelny), Wiesław Nodzyński (sekretarz red.), Piotr Piotrowski

Ryszard Rowiński, Alfred Siatecki. Korekta: Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterów; sekretariat redakcji: Elżbieta Waleńska. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 25, 65-042 Zielona Góra, skrytka pocztowa 51. Centrala telefoniczna 46-61 do 67. Dyrektor: Zbigniew Pletkiewicz, tel. 71-795.

Druk: Drukarnia Prasowa ZWP, 65-076 Zielona Góra, ul. Reja 5. Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch” 65-042 Zielona Góra, al. Niepodległości 25 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiałów (tekstów i fotografii) nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótu i zmian tytułów. Zam. 613 I-18

PeSTAWY

Dzieci zbierają wpisy do pamiętników, które są zbiorami autografów ich rówieśników pod mniej lub bardziej mądrymi sentencjami. Wyrastając z krótkich portek, zwyczaj porzucają, aby jako osobnicy zdolni do rozróżnienia, wrócić do niego w zmienionej formie. Ambasadorem podtykają książki życzeń pod nos nieznającym sobie ludzi. Cieszą się okrutnie z każdego wpisu.

Jako zawodowy bywalec różnego rodzaju zebrań, konferencji, kongresów, seminariów, sympozjów i posiedzeń, których życie nam nie szczędzi, z żywym zainteresowaniem śledzę wymianę myśli i idei. Dochodzą też do wniosku, że trzeci koszyk — wedle helińskiej terminologii, ma się w Europie jak najlepiej. Ludzie, myśli i idee wrzucane są do trzeciego koszyka jak leci, bez cenzury, z radością bezstronną. Siedzą zgodnie w koszyku i nadszliwie się nie mogą swemu towarzystwu — jak lis uwiązany za ogon do klamki i drzwi gabinetu pierwszego sekretarza lub biskupa. W koszyku jest jak z Wolną Europą, której nikt nie słucha.

Rozumiem tych, co wdrapują się na trybunę. Powierzono im misję wygłoszenia poglądu na temat trudności z oczyszczaniem szamba, załatwieniem kabla, którego brak wyklucza zapal w

iluminowaniu okolicy, wytyczenia drogi przez lasy do stoła. Nic to, że słuchacze siedzący za stołem prezydenckim, ani też pozostali uczestnicy zebrania, nie mają bezkrowców, kabla, walca drogowego. Rzecz została powiedziana, misja wypełniona. Szambo funkcjonuje, strzecha oświetlona, na drodze optymistyczny turkot karetki pogotowia i kombajnu. W protokole.

Powazny delegat wdrapuje się na trybunę i woła rewolucyjnie: Maszyny stoją! Czy mają tak stać? Nie! Trzeba więc skrócić o rok cykl nauczania w szkołach podstawowych i szkołach zawodowych! Sala klasyczna, chociaż mówca proponuje rezygnację z wielkiej zdobyczy społecznej, powrót do niedoucstwa w zakresie elementarnym i zawodowym.

Ktoś inny wdrapuje się na trybunę, deklaruje, że jest zwolennikiem reformy gospodarczej, poczem zabija ją jedną propozycją — urawniłowką uposażeń w ramach zawodów. Jesteś tokarzem? Dostaniesz od do, niezależnie, czy fabryka twoja słynie w świecie z precyzyjnych narzędzi, czy bankrutuje z powodu technicznych gniotów. Oto reforma się typie a sala, która też przy niej oblatuje, bije brawo. Gdyby syndykalis-

tyczną wypowiedź w sprawie uposażeń tokarzy brać serio, zaś oklaski potraktować jako zbiorowe poparcie dla mówcy, to brawa te brzmiałyby jak pogłos gwoździ wbijanych do trumny. Niebosz czyimik byłaby reforma, która zresztą i tak reform nie ma, jak każda nagość budzi mniejsze zainteresowanie, no chyba że pojawiają się objawy nowe, na przykład czyraki.

Na nasze szczęście, albo i nieszczęście, w życiu jest inaczej. Słowa funkcjonują sobie. Egzystują w protokolarzach, w rubryce — życzenia na dziś nie do zrealizowania, obok uwagi, że na powitanie jego cesarskiej mości salwy honorowej nie było z powodu braku armat. Życie kieruje się swoimi prawami.

A jednak księga życzeń sama w sobie jest rzecz niesłychanie pożyteczna. Można ją wertować przypominając sobie znajomych. Życzenia uwiecznione w protokolarzu, też mają funkcję. Kiedy polki uginają się pod ich ciężarem, gdy nadchodzi czas ich kanalizowania w archiwum, ktoś światły z odrobiną wolnych chwil, nad tą wiecznością się pochyla, być może dojdzie do wniosku, że coś w niej jednak trzeba zmienić.

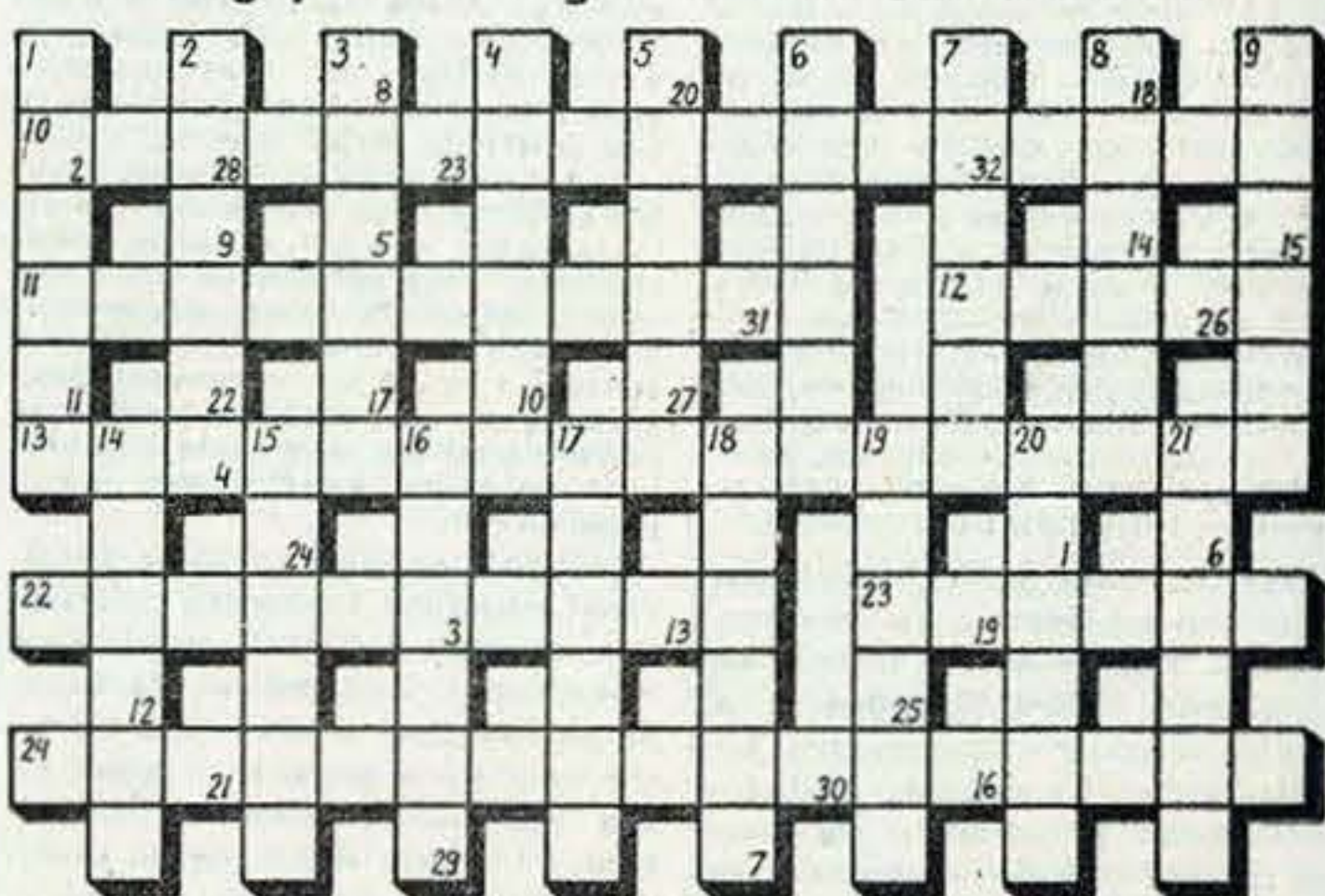
RYSZARD ROWIŃSKI

Księga życzeń

nadodrze

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Redaguje Zielonogórski Klub Szaradzystów



KRZYŻÓWKA Z HASŁEM

(Oprac.: „SLAWICZ”)

Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu od 1 do 32 utworzą rozwiązanie, (które wystarczy przesłać jako ostateczne) — stare przysłowie polskie.

Pozio: 10. Zrealizowanie planów, spełnienie marzeń, 11. Ozdoba przegubu ręki, 12. Piłkarz poznański „Łęcha”, poprzednio grał w „Widzewie”, 13. Rozgłaszanie, podawanie do wiadomości, 22. Wysoki stopień orderu, 23. Wolna posada, 24. Bezprawie, krzywdą.

Pionowo: 1. Wspólne ujście rzek Trent i Ouse (Anglia), 2. Pracownik szwalni, 3. Malarz polski (1729-1804), rokokowe malowidła w warszawskich Łazienkach, 4. Dawna nazwa Tbilisi, 5. Francuski historyk, filozof i filolog (1801-81), autor słownika języka francuskiego, 6. Lęk, obawa, 7. Dreszcze, mrowie, 8. Zawilec, 9. Film A. Wajdy, 14. Rozsławio go pivo, 15. Mazgaj, beksa, 16. Wilczyca, 17. Pożerstwo, kpiny, 18. Chwał polny, blawatek, 19. „Kamizelka” B. Prusa, 20. Dawna sypialnia, 21. Odrębność, odmiennosc.

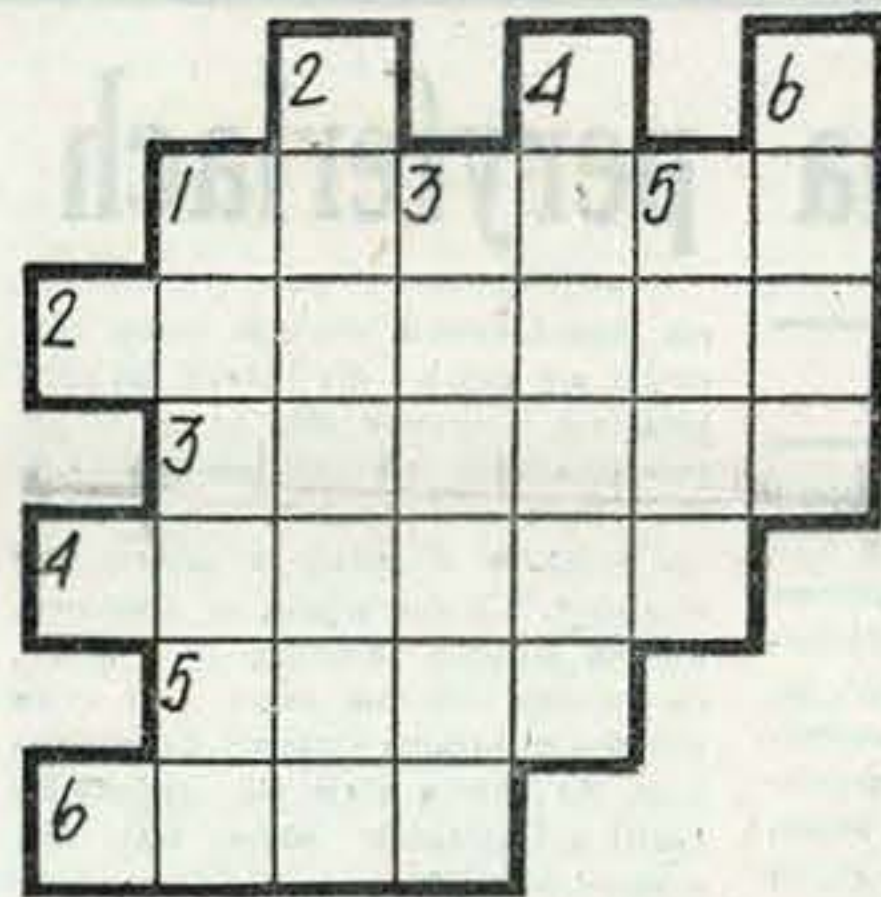
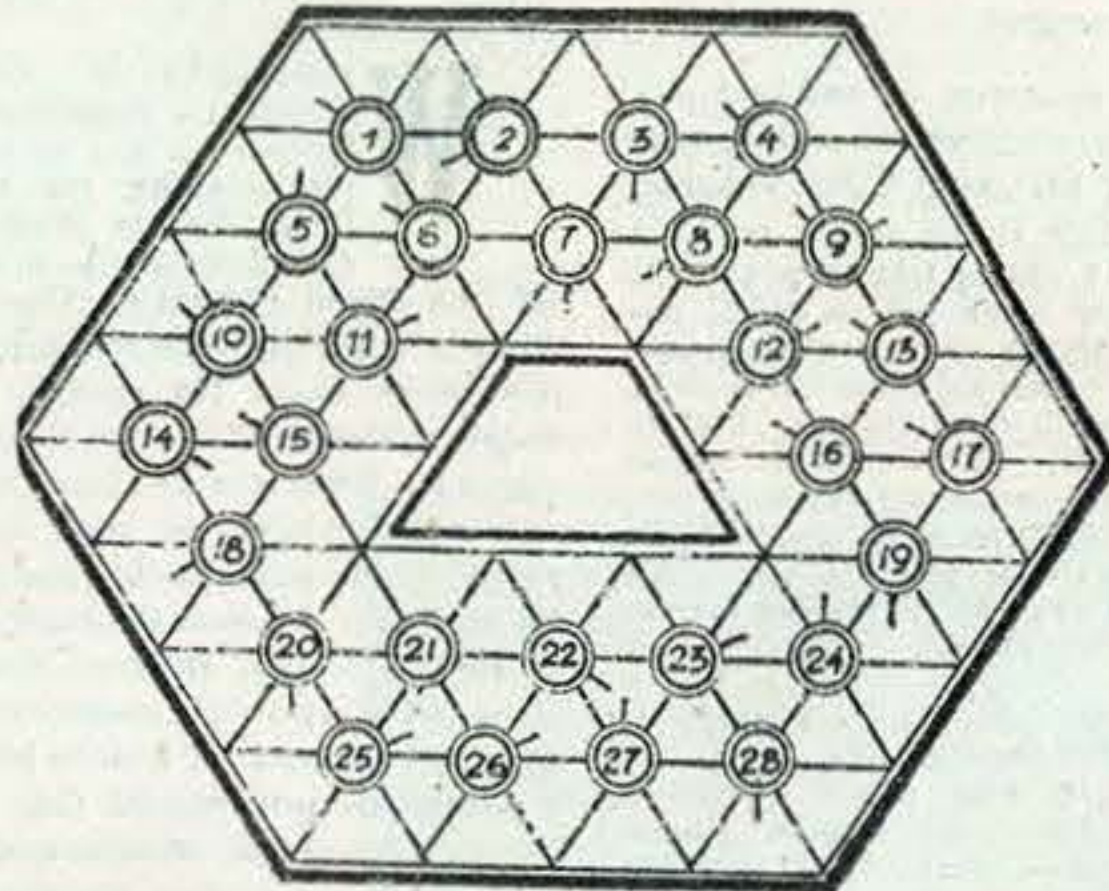


FIGURA MAGICZNA

(Oprac.: „SPATY”)

Znaczenie wyrazów pionowe i pionowo:

1. Zgiełk, gwar, harmider,
2. Słot, rzeszoto,
3. Zagorzałość, fanatyzm,
4. Elektryczna ujemna,
5. Lignina,
6. Chińska ozdoba masy i żywicy,



WIROWKA

(Oprac.: „STANGAR”)

Prawoskrętnie: 1. Pogardliwe o koniu, 2. Wiersz początkowy, zwykłe wciety, 3. Laboratorijna rurka szklana, 4. Brak zdolności, 5. Zniechęcenie, 6. Taca do owoców, 7. Słynny tancerz i choreograf francuski (1822-1910), działający w Petersburgu, 8. Mineral, fosforan wapnia, 9. Łożysko rzeki, 10. Znak graficzny, 11. Gatunek smacznych jablek, 12. Wczesna msza ku czci Marii, odprowadzana w adwencie, 13. Styl w architekturze, 14. Żołnierz lekkiej jazdy w XVI-XVII w., 15. Malarz i rzeźbiarz francuski (1841-1919), zwolennik impresjonizmu, 16. Bunt szlachty przeciw królom, 17. Końska stopa, 18. Umysłowo chory, 19. Afrykańskie państwo, 20. Zasłona, 21. Wedyjski bóg nieba, stróż ludu wszechświata, 22. Owoc południowy, 23. Sznupek do ozdabiania damskich ubiorów, 24. Najwyższy szczyt Kaukazu, 25. Koronkowa ozdoba damskiego kapelusza, 26. Nakłanianie, 27. Wódz Kozaków, 28. Egzamin dojrzałości.

ROZWIĄZANIE ZADAN NR 10:

Krzyżówka sylabowa
Pozio: gazeta, kareta, Sahara, Bogota, busola, natura, libella, minuta, beza, fuska, kakao, tortura, gitara, Pegaz, Togo, patera, przywara, lokata, tango, dysza, kotara, torebka, Jalapa, Motława, Liswarta, banita, niemola, gangrena.
Pionowo: Garonna, Tabora, katalizator, tabulatura, salami, rakietka, tunika, nudysta, kanapa, opera, Furawa, gigoło, rabala, tenuta, przygotowanie, radykalista, kapela, kolograf bialy: lewa, lewa, lewa.
Logograf bialy: lewa, lewa, lewa.
Uzupełnianie krzyżówki: Chroni język swój przed złymi słowami.
Nagrody książkowe wylosowali: Bohdan Biskiewicz z Wrocławia (za rozwiązanie trzech zadań) oraz Krzysztof Bugala z Krosna i Grzegorz Wroblewski z Gorzowa. Gratulujemy.
Rozwiązanie zadań prosimy nadsyłać na adres redakcji w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru. Na kopercie należy nakleić kupon zamieszczony obok. Listy z rozwiązaniami trzech zadań wezmą udział w losowaniu nagrody książkowej wartości ok. 250 zł. Czytelnicy, którzy w tym losowaniu nie będą mieli szczęścia wezmą udział — razem z tymi, którzy rozwiązali 2 zadania — w losowaniu nagród książkowych po ok. 150 zł.



namigi

Podczas, gdy oczy świata zawrócone są na Meksyk, gdy co drugi człowiek w Polsce godzinami siedzi przed telewizorem, a mój redaktor naczelny mówi — przepaszam, spiesz się — i biegnie, by zdążyć na transmisję z Mundialu, postanowiłam zabrać głos. Lądzie, ja też tam byłam! Spacerowałam obzorem gigantycznego trawnika na Stadionie Azteka! Słuchałam nocnych koncertów „marlaci” na placu Garibaldi, przemierzając licząc 28 km kapiącą ziołem Avenidę de Los Insurgentes, poznawałam historię Meksyku na malowidłach w Pałacu Republiki! Widziałam pływające osrody, słynne Muzeum Antropologiczne, obrazy Siqueirosa w Poliforum i bazylikę Czarnej Madonny z Gwadelupy! A potem... Potem były kolejno Theotihuacan, Cuernavaca, Puebla oraz jeden z cudów świata — Acapulco.

Stolica Meksyku nazywana jest z amerykańską Mexiko-City, zaś przez samych mieszkańców Ciudad-Mexico lub jeszcze gdzieś indziej Tenochtitlan, co znaczy „Wśród kaktusów”. Gdybym miała określić najkrócej, powiedziałabym, że Meksyk jest miastem-potworem, pożerającym codziennie setki tysięcy ton żywności, zięjący pyłem i spalinami, z otwartym gardłem, z którego wydobywa się nieustanny ryk. Nie są to może porównania sympatyczne, ale trafne. Meksyk w równym stopniu zachwyca, co przeraża. W moim przypadku obydwie doznania były tak silne, że poczułam się jak zachłystnięta i z podroży tej nie napisałam dotychczas ani słowa. Z jednej strony wspaniała, odmienna od europejskiej architektura, roślinność jak z bajki, wszędzie złoto, biel i muzyka, elegancki świat multimilionerów. I gra

niczaca z nim bezgraniczna nędza, brud, choroby, zarazy. 150 tysięcy dzieci umierających rocznie z powodu zanieczyszczenia atmosfery!

Miasto Meksyk zajmuje ponad 800, a według niektórych danych ponad 900 tysięcy km kw powierzchni. Widziane z lotu ptaka, rozciąga się na całym widnokręgu. Samolot na małej wysokości ci leci nad Meksykiem godzinę i w tym czasie nie widać nic innego, tylko słoneczne ulice i domy. Tu koncentruje się połowa krajowego przemysłu i handlu oraz większość szkół i uczelni, toteż jest Meksyk mekką dla poszukujących pracy i nowego życia. Którego dnia przybywa tu ponad tysiąc ludzi zniechęconych nadzieją na lepsze. Często gdzieś wysoko w górach zostawiają — odejony z dziećmi. Nie piszą do nich, bo pisać nie umieją. Zona długo czeka, potem wędruje za mężem, a kiedy po paru miesiącach przybywa do stolicy, ma często o jedno dziecko więcej. Ale nie ma pieniędzy i dokąd się udać. Siedzi na chodniku, obok sadza dzieci, najmłodszego śpi nago na gołym kamieniu. Ktoś rzuci kilka peso, ktoś inny tortillę — plasek z kukurydzy. Widziałam wiele takich obrazków.

W 1984 roku statystyka podawała 15 milionów mieszkańców. Obecnie według nieoficjalnych danych liczba ludności stolicy zbliża się galopującym pędem do 18 milionów. Tylko cud może powstrzymać monstrualny rozwój tego miasta — pisze zaniepokojona meksykańska prasa — „ale czy coś takiego w ogóle można nazwać miastem?”

Widok ulicy meksykańskiej nasuwa powiedzonko o pekanii w szwach. Sklepy niby brzuchate worki nie mieszczą towarów i wysypują je wprost na uli-

ce. Wszystkiego jest za dużo: słońca, które piecze nie do wytrzymania, domów z bramami jedna przy drugiej wykorzystanymi na małe bary i kafejki, a przede wszystkim ludzi. Przechodnie ocierają się o siebie i muszą uważać, by nie podesłać siedzących i leżących. Samochody posuwają się powoli, a między nimi przeciskają się pstrakato odziani ekwilibryści, czarownicy, polakacze ognia i mali sprzedawcy gazet. Dzieci pracują tu od 5 roku życia: są naganiancami do hoteli, pucybutami, pomocnikami sklepikarzy. Na widocznych przez ciemne szyby gigantycznych rożniach obracają się tysiące kurcząt i indyków, na straganach piętrzą się góry owoców, a pełnie wielkości basenów smażą równocześnie tysiące placków z kukurydzy. Kobiety nawet w najelegantszej części miasta paradują w warkach na głowie; rozwinęły je i zrobiły sobie fryzurę dopiero wieczorem, gdy mają wrócić z pracy.

Jeszcze 10 lat temu Meksyk otaczały lasy. Teraz miasto opasane jest wieńcem ze slamsów. Mieszka tu, nie oglądając czasem nigdy wspaniałości centrum, około siedmiu milionów biedaków. Suszy się na sznurkach bieleźna, biegają nagie dzieci, psy i prosieta. A między nimi wznoszą się aż pod niebo olbrzymie reklamy — hoteli, kabaretów, różnych miejsc rozrywki. Marilboro, Pemexu, coca-coli. Czasem przy budzie skleconej z paru desek i listwa palmy stoi wielki mercedes. Bo Meksyk, poza wszystkim, jest krajem trzech kultur — od Majów i Azteków, poprzez czasy Corteza aż do dziś — i tysiąca sprzeczności. A siła Meksiko — taki jest właśnie kawałek świata, w którym przebywają teraz piłkarze.

HALINA AŃSKA

MaRginałki

SZAMPANSKA KOBIETA. W rozmowie Elżbiety Stepkowskiej z aktorem Jerzym Kamasem („Veto” nr 21) czytamy: „... A skoro mówimy o jedzeniu, to powiedz mi, czym można zastąpić szampana na scenie? — Niczym — odpowiada aktor. — Wódka, whisky i inne trunki można oszukać, natomiast piwo i szampa są nie do podrobienia. Widz musi słyszeć jak korek strzela i widzieć, jak szampa musuje. Pamiętam, gdy przed laty występowałam gościnnie w teatrze „Kameralnym” w Krakowie, w sztuce „Wkrótce nadejdą bracia”, w finale musieliśmy otworzyć dwie butelki szampana, które razem z ANIĄ SENIUK wypylaliśmy na scenie. Teatr mógł kupić szampa tylko na pierwszą trybunę przedstawienia, więc potem ja stałam tam z szampą. Cóż, szampa nie może być zastąpiona, to jest fakt. Działo się to w lecie, Ania zawsze była uroczą dziewczyną, byliśmy wolni i ten szampa wprowadzał nas w cudowny nastrój. Po przedstawieniu szliśmy w nocy Kraków, który ozdobiał, niepostrzeżenie urokiem i przytulnymi małymi restauracjami. Ech, to były czasy”. Czy wszędzie było równie przytulnie?

DELICJE LITERACKIE. Szkice literackie Piotra Kuncewicz czyta się z prawdziwą przyjemnością. Tym razem w nr 21 „Przeglądu Tygodniowego” krytyk pisze o twórczości kobiet, używając neologizmów i wyluszkując z ich książek co smakowitsze kawałki. „Innego rodzaju portrety kobiece prezentuje Anna Markowa (ur. w 1932 r.), także absolwentka XPL-u, później — radiolka w Opolu i Białymostku — stwierdza autor. — Sprawy uczuciowe stanowią w ogóle

fundament twórczości Markowej — ciekawość, przy tym bywa motyw kobiecej niezaradności w łóżku”. Domyślamy się, że „radiolka” to zapewne redaktorka Polskiego Radia, ale o „kobiecej niezaradności w łóżku” nie przekonaliśmy się jeszcze...

TYDZIEŃ OCHRONY KONSUMENTA. Od 1 do 7 czerwca odbył się w całej Polsce Tydzień Ochrony Konsumenta. Jak donosi „Veto” (nr 22) w poprzedzającej Tydzień informacji, w Białymostku w witrynach sklepowych wywieszono z tej okazji „duże pomarańczowe plansze”, w Katowicach obniżono cenę lodów, w Łodzi serwowano więcej pierogów, zwłaszcza dla emerytów, w warszawskich Delikatessach przy ul. Świętokrzyskiej przygotowano do sprzedaży 5 ton kaszy gryczanej, olej słonecznikowy oraz 400 kg słodczy czekoladowych, sprzedawanych poza reglamentacją. Ponadto w stolicy przy ul. Walszkiej uruchomiono „tęży budki” do sprzedaży artykułów przemysłowych, w Kielcach urządzono pokaz mody, w warszawskim „Tokaju” obniżono cenę faj w stołecznej „Sofii” panie uzyskały bezpłatny wstęp na dyskotekę... O Zielonej Górze i Gorzowie „Veto” nie nie wspomnia. Uzupełniając więc tę informację powiadamy, że w naszym mieście „Marzalniki” zostały ofuknięte przez sprzedawczyń, natomiast w Gorzowie trwa nadal przebrzmiewanie sklepów.

OBŚLUGA NAJLEPIEJ. Również za tygodnikiem „Veto” (nr 22) podajemy nazwiska najlepszych sprzedawców ze śródmiejskiego Nadodrza, którzy otrzymali „Spółemowski Znak Jakości”. Są to: Maria Kimak i Irena Kaźmierczak z Choszczyna, Aleksandra Pisarska i Henryka Rudnicka z Dębna Lubuskiego oraz Maria Jurusik z Kożuchowa. Niestety, z obu wojewódzkich miast nie wyróżniono nikogo, co — trawestując porzekadło — można tak nazwać: najciemniej pod biurami wojewódzkich zarządów SPOŁEM.

TEATRALIA. „Życie Literackie” nr 22 w „kronice” donosi o IMPREZIE TEATRALNEJ w Przemyslu, w której — zdaniem autora — wziął udział zielonogórski Teatr: „Natomiasz Teatr im. Norwida z Zielonej Góry prezentuje widowisko Jana Tomaszewskiego „Boso, ale w ostrogach” na motywach książki Stanisława Grzesiuka...”. Gdzie Krym, gdzie Rzym? — wypada zapytać. Natomiasz „Polityka” (nr 22) cytując za „Sztandąrem Ludu” fragment wywiadu Andrzeja Łapickiego, rektora PWST w Warszawie: „Osobiście nie sądzę, by mogły utrzymać się w dobrej kondycji na przykład teatry w Bielsku-Białej, w Grudziądzu, Kaliszu, Gorzowie Wielkopolskim czy Elblągu. Na dłuższy dystans nie wyjdzie mi się to możliwe, natomiast sądzę, że konieczne jest wypracowanie sprawnego impresariatu teatralnego, który zaspokoiłby głód teatru w miastach takich, jak przed chwilą wymienione i w wielu mniejszych — także”. Nie stety, nie rozumiemy skąd ten brak zaufania do Teatru im. Osterwy, zwłaszcza po sukcesach „Tamerlana”, o czym z satysfakcją donosiła cała prasa krajowa prasa...

OBRAZOWO I PANEGIRYCZNIE. Jan Marszałek na łamach „Rzeczywistości” uprawia krytykę wzniosłą, liryczną i patetyczną. W nr 22 tygodnika w pastelowych barwach omawia twórczość Tadeusza Chrościelewskiego, pisząc m.in.: „Chrościelewski przypomina pszczołę spijającą nektar z najpiękniejszych kwiatów w ludzkiej historii — i ów nektar przetwarza w swym duchowym młynie w przedni miód. W ten właśnie sposób zrodziły się najcenniejsze pomniki w naszej literaturze, że wy mienie „Boska Komedia”, w której Dante zsyntetyzował ówczesne i wcześniejsze (rymskie, greckie, hebrajskie, babilońskie, egipskie) kosmogonie i kosmologie. Dramaturgia Szekspira, poezja Schillera, Goethego, Mickiewicza...”. Jeżeli pisarz pije nektar, to co pije recenzent?